CENA 50 GR.

NARÓD i PAŃSTWO

TYGODNIK

ROK IV. WARSZAWA, 30 Kwietnia 1939 R. NR 15-16

Sprawa postawiona jasno

Historia powtarza się nie tylko w treści, lecz i w formie. Przed trzema tysiącami lat półboscy bohaterowie Homera poprzedzali, nie kiedy nawet i zastępowali, walkę orężną ostrą wymianą zdań w obliczu zgromadzonych pod Troją wojsk.

Dzisiaj widzimy nawrót do starej formy. Prasa i radio przyniosły tutaj możliwości, o których się starożytnym nie śniło. Walka słowna stała się ponownie ważnym elementem działania.

W arsenale metod walczenia Adolfa Hitlera słowo odgrywało zawsze rolę niepoślednią. Nic więc dziwnego, że w obecnym momencie mobilizacji sił i środków zostało wprowadzone w grę. Hitler w swoim czasie zdolnością oratorską podbijał Niemcy, dziś wierzy zapewne, że potrafi osiągać przy jej pomocy sukcesy również i na terenie międzynarodowym.

Wystąpienie radiowe z dnia 28 kwietnia przeznaczone było w mniej więcej równej mierze na rynek wewnętrzny, jak zagraniczny. Poczucie, że w społeczeństwie niemieckim istnieje w tej chwili poważny niepokój w ocenie sytuacji wojskowej i politycznej Niemiec, co do której nie wiadomo, czy jest bardziej świetna, czy bardziej niebezpieczna — było zapewne jednym z ważniejszych motywów wystąpienia Kanclerza. Równocześnie jednak była to próba narzucenia pewnych sugestii także i zagranicy. W założeniach teoretycznych miało to być bodajże celem głównym.

W tej chwili wydaje się, że można już postawić diagnozę osiągniętych rezultatów. Na użytek wewnętrzny mowa zadania swe w pewnej mierze i na pewien czas spełniła. W odniesieniu do zagranicy sztuka oratorskiego czaru zawiodła zupełnie. Sugestia argumentów, podanych z wielką pewnością siebie, okazała się niezmiernie słaba. Przeciwnie, pozostało uczucie pewnego zdziwienia, czemu ktoś, przemawiający w momencie historycznym i do historii, okazuje niewiększą troskę o rzetelną wartość używanych argumentów, niżeli mówca wiecowy, dbający o osiągnięcie efektu na czas, w którym wypełnia salę dźwiękiem swego głosu.

Na czym polega to nieporozumienie? — Czy mamy do czynienia ze świadomym lekceważeniem słuchaczy, czy też z pewnego rodzaju specyficzną deformacją rzeczywistości?

Zapewne w dużej mierze zachodzi tutaj to drugie zjawisko. Zachodzi w warunkach, w których granica między fantazją i rzeczywistością zaciera się zupełnie.

Z punktu widzenia zagranicy argumenty Kanclerza Hitlera uderzały przede wszystkim nieposzanowaniem ścisłości i prawdy. Warto podkreślić tutaj uczynioną kiedyś przez człowieka dobrze znającego Niemcy uwagę o zasadniczej różnicy w sposobie pojmowania słowa „kłamstwo" w społeczeństwie polskim i niemieckim. W pojęciu Niemca, przeciętny Polak będzie człowiekiem o dużej skłonności do kłamstwa. Skłonność ta przejawi się w niedotrzymywaniu godziny spotkania, w niewykonaniu terminowym obietnicy napisania listu, słowem w zakresie drobnych spraw codziennego życia. Równocześnie jednak Niemiec nie potrafi naogół zrozumieć punktu widzenia, że trzeba wyciągnąć konsekwencje z zobowiązań, dotyczących spraw zasadniczych, szczególnie właśnie w zakresie zagadnień politycznych. Teza o nieporównywalnej i uprawnionej wyższości wszystkiego, co wchodzi w zakres interesu narodu niemieckiego, wytworzyła niejednokrotnie obserwowane zjawisko zupełnie specyficznej niewrażliwości moralnej. I stąd dzisiejszy narodowy-socjalista tak samo szczerze nie może często zrozumieć, czemu świat nie aprobuje podyktowanego interesem niemczyzny łamania zobowiązań przez Niemcy hitlerowskie, jak przed laty dwudziestu pięciu jego poprzednik, obywatel cesarskich Niemiec Wilhelma II-go, nie mógł zrozumieć reakcji oburzenia na pogwałcenie przez ówczesne Niemcy zobowiązań w stosunku do neutralności Belgii. Powszechność zasady, iż sprawdzianem moralności jest interes niemiecki, jest jednym z poważnych źródeł trudności znalezienia przez Niemcy wspólnego z innymi narodami języka w zakresie pojęć moralnych.

W sposobie ferowania sądów przez Kanclerza Hitlera jest jeszcze i inny dalszy moment tego samego rodzaju, tym razem natury osobistej. Podobnie jak istnieje w Niemczech wiara w moralną nadrzędność interesu niemieckiego, tak znowu Kanclerz Hitler zdaje się być dziś głęboko przekonany o osobistym prawie do stanowienia własnych kryteriów moralnych, w zależności od aktualnych potrzeb. Jest to zjawisko nierzadkie u ludzi o fanatycznej wierze we własne posłannictwo. W sposobie wysuwania pretensji do innych narodów przez Kanclerza Hitlera jest pewien czynnik tego rodzaju fanatycznej i zarazem naiwnej wiary w wartość posłannictwa, zdający się niekiedy przypominać pretensje, wyrażone w stosunku do przeciwników, przez jednego z krwawych bohaterów mistycznej epoki twórczości Słowackiego, słowami:

„Więc kto mógł umrzeć dzisiaj, a uciekał
Przed moją dzidą, przed moją szablicą,
Ten nie pokazał nad sobą litości
Ani rozumu"...

Metody tego rodzaju rozumowania bliżej charakteryzować nie chcemy i nie możemy. Lecz przy podobnym podwójnym obciążeniu pola grawitacyjnego jest rzeczą naturalną, że strzałka moralności politycznej Niemiec współczesnych wykazuje nie-

zmiernie poważne odchylenie od kierunku uważanego za normalny przez inne narody. Z faktem tym trzeba się liczyć, jako ze zjawiskiem realnym. Trzeba się liczyć z nim zwłaszcza przy ocenie wartości wszelkich przyrzeczeń, zobowiązań i deklaracji ze strony przedstawicieli narodu niemieckiego. Podstawą wszelkiego porozumienia jest wspólność języka w stosunku do spraw najprostszych. W danym wypadku tej wspólności języka nie ma i bodajże być nie może. I stąd tak trudno o porozumienie, które byłoby pozbawione najbardziej zasadniczych elementów nieporozumienia.

*

O wszystkich tych cechach trzeba pamiętać również, jeżeli chce się omawiać konkretne zagadnienia, poruszone w przemówieniu z dnia 28 kwietnia.

Tutaj zajmować się będziemy jedynie zakresem spraw wzajemnych stosunków polsko-niemieckich. W zakresie tych spraw czołowym niejako zagadnieniem stało się wypowiedzenie ważności umowy z roku 1934 o nieuciekaniu się do użycia siły we wzajemnych stosunkach między Niemcami i Polską.

Znaczenie tego faktu jest podwójne: realne i agitacyjne. Jeśli chodzi o znaczenie realne, to jest ono mniejsze, niżeli się wydaje. Wzajemne stosunki polsko-niemieckie posiadają już — po roku 1919 — dwudziestoletnią historię. Z tych lat dwudziestu, lat piętnaście upłynęło w atmosferze nie tylko braku wzajemnego paktu o nieagresji, lecz nawet przy nieustającej deklamacji niemieckiej o nieuznawaniu przez nie dzisiejszej granicy polsko-niemieckiej. Pakt o nieagresji miał być rzeczywistością lat dziesięciu, okazał się epizodem lat pięciu. Sposób likwidacji tego epizodu wykazał, iż nigdy właściwie nie był wartością realną. Dziś powracamy do stanu sprzed roku 1934. Przychodzi nam to o tyle łatwiej, iż — nie lekceważąc własnych zobowiązań, płynących z paktu — równocześnie nigdy nie popełnialiśmy błędu, byśmy podstaw naszego bezpieczeństwa szukali w postanowieniach paktu, nie zaś w realnym stanie naszych sił. Jeśli pakt miał się stać rodzajem narkotyku, usypiającego naszą czujność i osłabiającego naszą wolę — to na szczęście narkotykiem tym się nie stał i to nie stał się pod żadnym względem, ani wojskowym, ani politycznym, ani gospodarczym. Stąd też istotna wartość zakomunikowanej nam w dniu 28 kwietnia r. b. decyzji, jest niezmiernie nikła. Ponieważ zaś wolimy sytuacje jasne, więc wyjaśnienie i w tym wypadku uważamy za rzecz zdrową i pożądaną.

Inaczej jest, jeśli chodzi o moment agitacyjno-propagandowy. Tutaj została dokonana próba przedstawienia sprawy w ten sposób, jak gdyby traktat został faktycznie zerwany przez Polskę, ściślej przez porozumienie polsko-angielskie. Z tego rodzaju poglądem pogodzić się nie możemy. Ani w literze, ani w duchu traktatu, ani w dzisiejszej sytuacji politycznej Europy nie ma najmniejszego uzasadnienia dla tego rodzaju twierdzeń. Jeżeli Kanclerz Hitler po roku 1934 zawierał umowy polityczne imieniem Niemiec, musi zostawić Polsce również analogiczną swobodę. Jeżeli Kanclerz Hitler nie chce dokonywać agresji w stosunku do Anglii — to nie potrzebuje obawiać się porozumienia, które ma charakter zabezpieczenia przed agresją. Lecz to są wszystko momenty niejako wtórne. Momentem głównym jest fakt, że traktat o nieagresji został nie tyle wypowiedziany w dniu 28 kwietnia, ile złamany o kilka tygodni wcześniej, w momencie, w którym ze strony Niemiec zostały wysunięte w stosunku do Polski żądania, nie dające się — ani pod względem treści, ani pod względem formy — pogodzić z postanowieniami traktatu.

*

Przechodząc do sprawy formy i treści dezyderatów, sformułowanych przez stronę niemiecką pod adresem Polski i zachwalanych jako szczyt umiarkowania, stwierdzić należy, co następuje:

Istota sprawy leży tutaj nie w fakcie, iż dezyderaty te w zupełnie jednolitej i najbardziej stanowczej opinii całości społeczeństwa i wszystkich czynników politycznych Polski nie nadają się do jakiejkolwiek dyskusji, gdyż — wbrew zapewnieniom — idą niezmiernie daleko, próbując podważyć zasadę suwerenności Polski w stosunku do pewnych jej terytoriów. Moment ten nie wymaga rozważań. Jest zupełnie jasny. Wynikiem jego może być tylko krótkość negatywnej odpowiedzi, przerywającej i odrzucającej ponownie możność dyskusji nad tego rodzaju sugestiami.

Istotą jest tutaj co innego. Zupełnie fałszywy pogląd na całość zagadnienia stosunków polsko-niemieckich, jaki przejawia się w fakcie wysunięcia tej propozycji ze strony niemieckiej.

Kanclerz Hitler w odniesieniu do programu politycznego Trzeciej Rzeszy wysunął tezę, iż Traktat Wersalski wyzyskał powojenne osłabienie Niemiec dla narzucenia im szeregu warunków i postanowień, które nie znajdują uzasadnienia w rzeczywistości.

Teza ta w odniesieniu do wielu punktów programu politycznego Niemiec mogła być słuszna. W odniesieniu do układu stosunków polsko-niemieckich jest absolutnie błędna.

Jeżeli Niemcy w roku 1918 i 1919 przeżywały okres nienaturalnego osłabienia, po którym stopniowo odprężyły się i odzyskały zdolność działania, to w nieporównanie większym stopniu należy stwierdzić to w odniesieniu do Polski, szczególnie właśnie w odniesieniu do sił i roli Polski na zachodzie. Traktat Wersalski nie był uprzywilejowaniem Polski w żadnym punkcie naszego zachodniego pogranicza. We wszystkich punktach przyjmował, jako zasadę, akceptację naszych strat narodowych, będących wynikiem nie jednej wojny, lecz stu kilkudziesięciu lat stosowania systemu wynaradawiającej przemocy. I stąd, jeśli można mówić o niesprawiedliwości postanowień Traktatu Wersalskiego w odniesieniu do tego punktu, to tylko w jednym znaczeniu: Traktat Wersalski, wbrew poczuciu słuszności i wbrew naturalnemu układowi stosunków europejskich, próbował oprzeć się na przekonaniu o trwałości, będącego skutkiem niewoli, osłabienia sił polskich na zachodzie, stąd narzucił szereg postanowień, sprzecznych z naszymi prawami, naszą siłą i zdrowym układem stosunków europejskich.

Kanclerz Hitler mówi dziś jeszcze o „korytarzu" pomorskim. Przeciwko tej terminologii musimy założyć najkategoryczniejszy sprzeciw. Tu nie ma zagadnienia „korytarza". Polski dostęp do morza idzie przez ziemię najrdzenniej i najdawniej polską. W sytuacji Pomorza nie ma nic nienormalnego. Nienormalną może być tylko sytuacja Prus Wschodnich, szczególnie, jeśli ktoś chce w nich widzieć nie stosunkowo niewielki dzielnicowy organizm, żyjący własnymi problemami, lecz forpocztę niemieckiej ekspansji na wschód.

Traktat Wersalski nie wziął pod uwagę w żadnym punkcie naszej państwowej granicy ani pełni sił polskich, ani naturalnych warunków rozwojowych i potrzeb państwa polskiego. My, wierni nie tylko takim czy innym postanowieniom traktatów, lecz przede wszystkim głęboko pojętemu dążeniu do pokojowego rozwoju stosunków w tej części Europy — rzadko mówimy i piszemy na ten temat. Niemniej poczucie tego mamy pełne i nie możemy dopuścić, by następowało radykalne odwracanie istoty problemu przez wysuwanie fikcji rzekomego pokrzywdzenia interesów niemieckich w jakimkolwiek punkcie naszej wspólnej granicy. Prawda o Traktacie Wersalskim jest zgoła inna.

Zagadnienie to przedstawia się w jednakowy sposób dla całości naszej granicy. W szczególności wyraźnie przedstawia się to w odniesieniu do sprawy Gdańska. Kanclerz Hitler stara się postawić tezę, że Gdańsk nigdy nie będzie polski. Istotnie, Traktat Wersalski starał się o możliwie najpełniejsze stworzenie wszelkiego rodzaju prerogatyw, zabezpieczających możność utrzymania niemieckiego charakteru Gdańska. Polska stan taki gotowa była tolerować, równocześnie jednak ze swej strony podkreślała jak najmocniej, iż może to być za cenę równie starannego respektowania przez stronę drugą innej tezy Traktatu, odpowiadającej zasadniczej tezie polskiej, iż Wisła nigdy nie będzie wpadać do niemieckiego morza.

Kto tego nie rozumie, nie może liczyć na porozumienie. Jeśli naprawdę chce pokoju — musi się z tym pogodzić. Jeśli chce wojny — będzie ją miał ze wszystkimi z niej płynącymi konsekwencjami.

Józef Korpała

U źródeł polskiej idei narodowej

W rocznicę Ustawy Konstytucyjnej 3 maja r. 1791

Od czasu odzyskania niepodległości przed narodem polskim stoi doniosły problemat idei Polski, czyli idei narodu i państwa polskiego. Jeśli odpowiedzialność za losy Polski nie ma być fikcją w szerokich masach, to masy te trzeba zespolić z ideą Polski przez utrwalenie w nich idei niepodległości i idei narodowej. W atmosferze powojennego kryzysu idei, etyki i kultury załamało się wiele ideałów, ale ostała się zwycięska idea narodowa. „Za wolność i udzielność narodu" miały wypisane na sztandarach niemal wszystkie walczące zbiorowości.

Dla uświadomienia dzisiejszemu społeczeństwu polskiemu twórczej wartości prawdziwej idei narodowej, trzeba sięgnąć w naszą przeszłość dziejową, by uprzytomnić masom genezę idei narodowej, wskazać źródło siły tej idei i określić jej treść istotną, na tle ewolucji narodu polskiego, w okresie wielkiego przełomu od Konstytucji 3 Maja do upadku Powstania Listopadowego.

Nie będzie przesadą, jeśli powiemy, że w ciągu tych czterdziestu lat naród polski przeżył jeden z najintensywniejszych okresów swego życia i rozwoju. Z okresem tym można by porównać jedynie ostatnie trzydziestolecie narodu polskiego, w epoce Józefa Piłsudskiego.

*

Dopóki Rzeczpospolita Polska była potęgą militarną i kulturalną we wschodniej Europie, idea Polski żyła w narodzie szlacheckim. Ale w okresie Sasów nastąpił upadek kultury obywatelskiej i zatrata idei państwa. Dopiero wtedy, kiedy postąpił już „proces zamierania samowładności narodowej" (czego przejawem były trzy elekcje, dokonane pod naciskiem obcych), zaczęła się budzić reakcja. „Polak zaczął odróżniać niepodległość narodową od swobody osobistej". Od samego jednak początku owa idea niepodległości konkretyzuje się w umysłach, jako przede wszystkim obrona przed Rosją.[1]) Nie przeszkadza to wcale, że w makaronicznej mowie ówczesnej wyrazu „niepodległość" nie spotyka się wcale. Pierwszy raz znajduje prof. Konopczyński wyraz *„niepodległość"* w piśmie do Kierskiego, biskupa przemyskiego, 5 marca 1772 roku, w przededniu pierwszego rozbioru Polski. W obliczu tego niebezpieczeństwa *idea narodowej niepodległości* stanie przed oczyma zarówno króla, jak i jego przeciwników, zrozumieją jej istotę i wprowadzą wreszcie to pojęcie do publicystyki i literatury narodowej. Poczną się rozważania nad tym, kto ma nam gwarantować niepodległość, znajdą się również umysły, które zrozumieją, że niepodległość buduje się od wewnątrz i ci zabiorą się do rzetelnej pracy nad odrodzeniem narodu szlacheckiego.

Odpowiedzią grupy światłych przodowników ówczesnego, zaślepionego w ciasnym egoizmie narodu szlacheckiego było ustanowienie Komisji Edukacji Narodowej i zeświecczenie wychowania publicznego. Prace Komisji Edukacji Narodowej wytworzyły nowy klimat moralny, w którym wzrósł posiew nowych ideałów nowoczesnych, głoszonych przez Konarskiego, Staszica i Kołłątaja. Wprawdzie Komisja Edukacji Narodowej nie uratowała Polski, tak jak jej nie uratowała Konstytucja 3 Maja, ale „dała Polsce ideę Polaka-obywatela, wychowania obywatelskiego oraz zostawiła po sobie kanon-wzór, jak taki nowy obywatel ma być kształtowany".[2])

Ambitnej pracy urobienia nowego typu obywatela-Polaka i unowocześnienia całej duchowości polskiej KEN. nie dokonała, bo przeciwstawił się jej zwarty blok staroszlachecki, ale wprowadziła ideę wychowania patriotycznego i pozostawiła po sobie „tradycję wychowania prawdziwie polskiego, bo opartego w całości na ciągłej myśli o Polsce".

Pod wpływem poglądów umysłowych Zachodu i katastrofy politycznej, którą był pierwszy rozbiór Polski, dokonał się w Polsce przewrót umysłowy, którego wyrazem był wzrost czynników odrodzenia umysłowego i moralnego, w drugiej połowie XVIII wieku. Najwspanialszym wyrazem tego przewrotu była niewątpliwie K. E. N., na gruncie jej tradycji budowało się polskie wychowanie, po upadku państwa polskiego.

W ciągu dwudziestoletniej pracy KEN., wraz z upaństwowieniem szkoły polskiej zaznaczyło się jej unarodowienie. Domagały się tego światlejsze umysły na Sejmie 1773 r. Poseł ziemi krakowskiej, F. Oraczewski, żądał wniesienia projektu edukacji narodowej, gdyż — jak mówił — „trzeba zrobić ludzi Polakami, a Polaków obywatelami, z czego nastąpią wszystkie pomyślne dla kraju powodzenia". Projekt edukacji wniesiono, ale Polaków obywatelami KEN. zrobić nie zdołała, bo tradycja wychowawcza szlachecka (sarmatyzm) wyczuwała w niej coś, zagrażającego podstawom dotychczasowego wychowania ogólnopolskiego. Realnym sukcesem KEN. było przełamanie monopolu wychowania staroszlacheckiego, zreformowanie systemu wychowania i przygotowanie zastępu światłych polityków, żołnierzy, uczonych i społeczników, którzy podjęli wysiłek ratowania narodu i państwa, na różnych odcinkach.

Nowe pokolenie, wychowane w szkole kadeckiej i Komisji Edukacji Narodowej, na ideach Rousseau'a i Woltera, przejęło się patriotyzmem, dumą narodową, poczuciem odpowiedzialności za losy państwa. Wychowane nie na łacinników, lecz na obywateli, podjęło śmiałą myśl reformy ustrojowej. Potrzeba tej reformy była następstwem przebudzenia się zmysłu niepodległości narodowej i zbiegła się z powstaniem nowoczesnych orientacyj politycznych na Zachodzie, co nie mogło pozostać bez wpływu na kierunek zamierzonych reform.

Ogół szlachty o przemianach w poglądach społeczno-gospodarczych i politycznych na Zachodzie nie miał żadnego pojęcia nie tylko dlatego, że ciemnota czasów saskich odbiła się fatalnie na ogólnym poziomie umysłowym narodu szlacheckiego, ale także i dlatego, że struktura społeczna i polityczna Polski była zupełnie odmienna od struktur zachodnio-europejskich, a zwłaszcza Francji. Myśl o reformie ujawniła się wyraźnie dopiero w czasie sejmu, rozpoczętego w r. 1788. W tym samym czasie we Francji dojrzewała już wielka rewolucja.

Jako przejaw samoobrony i zdrowego instynktu Sejm czteroletni był zjawiskiem niezwykłym i przyśpieszył dojrzewanie narodu do reform. Naród, który w r. 1772 nie drgnął nawet w obronie dostępu do morza i nie zaprotestował zbrojnie przeciw pierwszemu rozbiorowi Polski, w ciągu dwudziestolecia, od r. 1782 do 1792, dokonał wielkiej pracy wewnętrznej. „Nie tylko politycznie i umysłowo dojrzewał, ale i do moralnej równowagi docierał, poważniał, pozbywał się przesądów, a nabywał miłości ojczyzny i ofiarności dla niej".[3]) Zwłaszcza „pod wpływem reform po r. 1788, wzniosło się nagle poczucie odpowiedzialności i godności i naród dał się porwać entuzjazmowi ku zdziwieniu obcych, którzy go nie poznawali".[4])

Sejm czteroletni był okresem permanent-

---

[1]) W. Konopczyński: Narodziny nowoczesnej idei niepodległości.

[2]) St. Łempicki: Polskie tradycje wychowawcze.

[3]) Brükner: Dzieje kultury polskiej T. III. s. 155.

[4]) Brückner: op. cit. s. 184.

nej rewolucji, której kulminacyjnym punktem był dzień 3 maja 1791 roku. O pełnym odrodzeniu narodowym w okresie Sejmu czteroletniego nie może być oczywiście mowy, gdyż — jak to wykazał prof. O. Górka[5]) — ogół szlachty uparcie obstawał przy ciasnych pojęciach staroszlacheckich. Dość wspomnieć, że „na 55 sejmików dawnej Rzeczypospolitej, w okresie Sejmu czteroletniego i w przededniu Konstytucji 3 Maja za zniesieniem elekcyjności tronu, czyli za najbardziej zasadniczym punktem Konstytucji 3 Maja, oświadczyło się zaledwie 5! W konsekwencji za Konstytucją 3 Maja, mimo nacisku wojska, wytoczonych armat i obecności ułanów, na 509 posłów i senatorów Sejmu czteroletniego, głosowało zaledwie 96". Na podstawie tej wymowy niezbitych cyfr prof. Górka nie waha się stwierdzić, że „około 80% narodu szlacheckiego z okresu Sejmu czteroletniego stało swymi rzeczywistymi sympatiami po stronie Konfederacji Targowickiej, oczywiście nie przez jakąś masową zdradę, ale przez swą ideologię, w której bez przerwy gardłowało się o ojczyźnie, wolności, tradycji, wierze, przodkach, prawach i narodzie". Ale istoty pojęcia narodu w duchu zachodnio-europejskim masa szlachecka jeszcze nie rozumiała.

W tym czasie jednak na widownię życia publicznego wystąpiło już nowe — niestety nie dość licznie reprezentowane — pokolenie prawdziwych obywateli i żołnierzy, którzy pod wpływem rewolucyjnych przemian we Francji, w poczuciu odpowiedzialności za losy Polski, zamachem stanu narzucili krajowi postępową Konstytucję, w dniu 3 maja 1791 r., zapewniwszy sobie poparcie postępowego mieszczaństwa. Oczywiście pamiętać trzeba, że choć zamachem stanu narzucona „nie była Konstytucja 3 Maja wyrazem najdalej idącego postępu nawet na owe czasy. Istniała już w r. 1789 ogłoszona „Deklaracja praw człowieka" i obradowało w jej duchu Zgromadzenie Narodowe we Francji. Znane już były zasady również w r. 1789 proklamowanej Konstytucji Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, tak biegunowo różne z zasadami ustroju politycznego, wprowadzonego przez ustawę majową" [6]). Mimo to Konstytucja była dziełem wielkim i na stosunki polskie nieledwie rewolucyjnym, gdyż inicjatorką jej była postępowa szlachta, a nie oświecone mieszczaństwo, jak to było we Francji.

Mieszczaństwo w Polsce nie odgrywało tej roli, jaka przypadła stanowi trzeciemu we Francji, bo było stosunkowo słabe, choć czasu pierwszego rozbioru, nie bez zasługi Stanisława Augusta, zaczęło się podnosić. Za wzrostem gospodarczego znaczenia poszło podniesienie społecznej roli mieszczaństwa, do czego w dużym stopniu przyczyniała się atmosfera polityczna, stworzona pracą Sejmu czteroletniego i nieznaną w tym stopniu akcją polityczną, obejmującą również mieszczaństwo.

Na tle pracy sejmowej i przygotowywania opinii do przyjęcia Konstytucji nastąpiło zbratanie się stanu szlacheckiego i mieszczańskiego, czego symbolem było nobilitowanie 420 mieszczan w 1790 r. i przyjęcie w poczet obywateli miasta Warszawy przedstawicieli społeczności szlacheckiej ze Stanisławem Małachowskim na czele, w ostatnich dniach kwietnia 1791 r. Był to nie tylko znakomity manewr taktyczny, mający na celu zjednanie mas mieszczaństwa warszawskiego dla Konstytucji 3 Maja, ale także poważny akt polityczny, „bo oto szlachta, chcąc ratować ojczyznę, wciągnęła do współpracy i miasta". Oczywiście nie brakowało wśród mieszczan i takich, zwłaszcza publicystów, którzy demaskowali te kompromisy ze strony przedstawicieli mieszczaństwa, jako jawną zdradę i domagali się całkowitego równouprawnienia, w duchu deklaracji rewolucyjnej Francji, której wpływy docierały do Polski.

Konstytucja 3 Maja znalazła w historiografii polskiej na ogół pozytywną ocenę, przede wszystkim ze względu na okoliczności, w których ją uchwalono. Zwraca uwagę fakt, że Polska — aczkolwiek znajdowała się już przez dłuższy czas pod faktycznym protektoratem państw rozbiorczych, a przede wszystkim Rosji, „dokonała tego ważnego dzieła o własnych siłach i bez pytania o zgodę sąsiadów. Skołatanej Rzeczypospolitej dano wreszcie nową ustawę rządową, napisaną już nie pod dyktandem obcych dworów, ale stworzoną silną wolą przedstawicieli narodu[7])". Nie można już winić twórców Konstytucji, że ustawa nie weszła w życie i nie znalazła tego oddźwięku, na jaki zasługiwała, bo nie oni, ale Targowiczanie byli „reprezentantami odczuwania i sposobu rozumowania olbrzymiej większości szlacheckiej i liczyli w swych szeregach, na świecznikach powagi, starości i patriotyzmu element najgorszy pod względem myślenia politycznego—dawnych Barszczan" (O. Górka).

Wprawdzie Konstytucja 3 Maja nie była świadectwem myśli politycznej całego, czy choćby większości narodu szlacheckiego i dlatego nie spełniła tej roli dziejowej, jaką jej wyznaczyli twórcy, ale miała wielkie znaczenie w życiu narodu i państwa polskiego. Stanowiła ona jakby zwrotny punkt w dziejach narodu polskiego. Przeobrażenie społeczne, które zaczęło się dokonywać w okresie Sejmu czteroletniego, w atmosferze ostrej walki publicystycznej, znalazło w Konstytucji 3 Maja moralne oparcie. Słusznie przeto już przed laty stwierdził B. Limanowski, że wielkie znaczenie w rozwoju narodowym Konstytucja 3 Maja miała podwójnie: przypuszczając mieszczan do udziału, jakkolwiek ograniczonego, w rządach politycznych Rzeczypospolitej, niweczyła poprzednią wyłączność szlachecką narodu, a uznając, że lud rolniczy w narodzie najliczniejszą stanowi ludność, otwierała — jakkolwiek jej autorowie mogli nie zdawać sobie z tego sprawy — drogę do istotnego, rzetelnego wcielenia ludu w naród".

Nie znaczy to wcale, aby ówczesna myśl polityczna nie interesowała się sprawą chłopską. Bynajmniej. W publicystyce politycznej Sejmu czteroletniego nie brakowało głosów i argumentów za poprawą doli chłopa, były nawet konkretne projekty (np. Andrzeja Zamoyskiego) ale reformatorzy obawiali się rozwiązania tej sprawy, w trosce o los swego dzieła. Toteż „w porównaniu z projektem Andrzeja Zamoyskiego Konstytucja 1791 r. dawała chłopom bardzo mało. Dała ona wyraz bezpłodności myśli reformatorskich w sprawie włościańskiej sfery większej własności"[9]). Tak było w Polsce, tak samo było we wszystkich krajach, za wyjątkiem rewolucyjnej Francji.

Pomijając już konserwatyzm i kompromisowość Konstytucji 3 Maja — trzeba raz jeszcze podkreślić, że była ona zaczątkiem nowoczesnej idei narodowej i punktem wyjścia ewolucji narodu, od narodu szlacheckiego, do narodu polskiego, obejmującego wszystkie stany, równocześnie zaś niosła zarazę demokratycznych idei paryskich. Dla ideologów nowej myśli politycznej Konstytucja 3 Maja „stała się sztandarem, pod którym stanęło wszystko, co było w Polsce szlachetne i czyste, wszystko co bezgranicznie kochało ojczyznę"[10]). Stała się symbolem postępu walki o wolność, ponieważ była ostatnim zwycięstwem przed śmiercią polityczną.

Ideowe oblicze Konstytucji niewątpliwie różniło się znacznie od ówczesnych wzorów francuskich, amerykańskich, czy angielskich. Twórcy jej, aczkolwiek badali pilnie wzory zagraniczne i rozczytywali się w pismach racjonalistów, liczyli się jednak z charakterem narodu i sytuacją wewnętrzną i dlatego stworzyli dzieło, które było wyrazem umiarkowanego postępu. Prof. Konopczyński główną zasługę twórców Konstytucji upatruje w tym, że „stworzyli oni dzieło narodowe w tym znaczeniu, że narodowi podporządkowali króla, rząd, sejm, wojsko, wszystko. Z obcych wzorów zapożyczyli to, co się od dawna nadawało do przeszczepienia na grunt polski. Poświęcając wolność jednostek starali się ugruntować wolność narodu tj. niepodległość". Naszym zdaniem, prawdziwa wolność narodu bynajmniej nie zależała od podporządkowania wszystkiego narodowi, bo naród ówczesny, tj. naród szlachecki, nawet w tej umiarkowanej Konstytucji dopatrzył się zamachu na dotychczasową wolność, a raczej swawolę szlachecką. Toteż wbrew temu, co pisze prof. Konopczyński, Konstytucja nie spotkała się w kraju z taką radością, o jakiej pisze w „Dziejach Polski nowożytnej" i na jaką niewątpliwie zasługiwała. Słusznie natomiast twierdzi prof. Konopczyński, wbrew niektórym zaślepionym na-

[5]) O. Górka: Koncepcje upadku Polski.

[6]) A. Kawałkowski: Od rozbiorów do zjednoczenia.

[7]) J. Dihm: Przygotowanie Konstytucji 3 Maja.

[9]) W. Grabski: Historia wsi.

[10]) A. Kawałkowski: Od rozbiorów do zjednoczenia.

cjonalistom współczesnym, podejrzewającym wszędzie intrygę żydowsko-masońską, że „choćby też wszyscy uczestnicy „spisku" 3 Maja okazali się członkami lóż wolnomularskich, ich wiekopomne dzieło było tworem oświeconego i niepodległego ducha, wielkim zwycięstwem nad swojską słabością, szczęśliwym rozwiązaniem tych ustrojowych zagadnień, które wszystkie narody lądowo europejskie miały dopiero w XIX wieku podjąć za przewodnictwem Francji".

Do Konstytucji 3 Maja przeniknęły również nowe pojęcia o narodzie. Wprawdzie zdobycz rewolucyjnej Francji, jaką było uzależnienie państwa od narodu, nie była w Polsce czymś nowym, gdyż Polska nie znała okresu absolutyzmu, a z nim supremacji państwa nad narodem, ale wraz z tą ideą zmieniło się rozumienie istoty narodu. Wprawdzie, po dawnemu, za naród uważa się przede wszystkim szlachtę, ale przypuszczając mieszczan do udziału w rządach politycznych, Konstytucja „niweczyła poprzednią wyłączność szlachecką narodu, a uznając, że lud rolniczy najliczniejszą w narodzie stanowi ludność", otwierała — jakkolwiek jej autorowie mogli sobie nie zdawać z tego sprawy — drogę do istotnego... unarodowienia włościan".

Rzecz znamienna, że w Konstytucji 3 Maja pojawiają się równorzędne 3 pojęcia: ojczyzna, naród i państwo. Dawniej państwo i naród utożsamiały się i na oznaczenie państwa używało się wyrazu naród, oczywiście mając na myśli naród szlachecki. Dopiero pod wpływem literatury politycznej XVIII stulecia, badającej państwo w jego początkach i rozwoju, zaczęto spostrzegać różnicę pomiędzy organizacją państwa, a ogółem narodu. Najwięcej zawdzięczano pod tym względem Janowi Rousseau, którego myśl przewodnia o pochodzeniu władzy znalazła wyraz w rozdziale o rządzie, biorącym początek „z woli narodu".

Pod wpływem Konstytucji 3 Maja obudziło się w znacznym kręgu narodu szlacheckiego poczucie godności narodowej, czego wyrazem był nie tylko uroczysty obchód pierwszej rocznicy Konstytucji, ale przede wszystkim zbrojny opór wojskom rosyjskim, sprowadzonym na Polskę przez Targowiczan, którzy szli na pasku Katarzyny. Aczkolwiek sytuacja Polski w r. 1792, była nierównie korzystniejsza, niż Barszczan (1768), to jednak wskutek załamania się króla po raz drugi przegrano walkę zbrojną narodu o wolność i niepodległość. Konsekwencją tej klęski był drugi rozbiór Polski i Sejm grodzieński, po którym Państwo Polskie ostatecznie pochyliło się ku zagładzie. „Polska zawiodła wiarę twórców Konstytucji, nawet niektórzy z nich się załamali. Nie stanęli na wysokości zadania ani król, ani ministrowie, ani wojsko, ani jego dowódcy, a przede wszystkim zawiódł „naród", czyli owa społeczność szlachecka, która szła od początku przeciw Konstytucji lub odstąpiła od niej w toku wojny" (A. Kawałkowski).

Konstytucja 3 Maja, choć nigdy w życie nie weszła, przyspieszyła jednak przeobrażenia ideowe społeczeństwa. Postawiona, dzięki zbieżności czasu, niemal na równej płaszczyźnie z konstytucjami demokratycznymi, stała się w ręku szermierzy idei narodowej i demokratycznej symbolem dojrzałości politycznej narodu i ważkim atutem propagandowym, tym cenniejszym, że przychylnie ocenianym zagranicą.

Emil Kuroński

Problemy ludnościowe w III-ej Rzeszy

Problemy ludnościowe posiadają dla Niemiec nacjonal-socjalistycznych znaczenie pierwszorzędne.

Naród jest podstawą i punktem wyjścia dla wszelkiego działania. Polityka nacjonal-socjalistów nałożyła narodowi niemieckiemu ogromne zadania, dziś już zrozumiano wszędzie, że zadania te są natury imperialistycznej, mające swój cel w ponownym dążeniu do władztwa przynajmniej nad Europą.

Tak wielkim zadaniom podołać może tylko naród zdrowy, prężny i rodny.

Stąd szczególne zainteresowanie Niemiec współczesnych zagadnieniem ludnościowym.

Sytuacja ludnościowa okazała się przy dojściu narodowego socjalizmu do rządów wręcz katastrofalna.

Przyrost ludności ze współczynnikiem 4.3‰ w r. 1932 wynosił mniej niż 1/3 przyrostu naturalnego Polski. Dla Niemiec przyrost taki był o blisko 20% niższy, niż wymagało utrzymanie stanu liczbowego ludności Rzeszy na przyszłość.

Jednocześnie wyludniały się wschodnie — przeważnie rolnicze — obszary, mimo, iż przyrost naturalny tych ziem przewyższał poważnie przyrost całej reszty ziem. Był to skutek silnej ucieczki ludności do ziem środkowych, a przede wszystkim zachodnich Niemiec, spowodowanej chęcią znalezienia lepszych warunków pracy i bytu. W związku z tym zwiększał się znowu systematycznie problem umiastowienia, pozostający — jak wiadomo — w ścisłym związku z zagadnieniem ludnościowym.

Proces umiastowienia ludności doprowadził w ciągu lat 60 do odwrócenia stosunku ludności żyjącej w miastach i na wsi.

Na 100 Niemców mieszkało:

Rok	na wsi	w mieście
1871	639	351
1933	329	671

Niemcy były w r. 1933 najbardziej umiastowionym narodem Europy. Skutki takiego stanu musiały wyrazić się zarówno pod względem ludnościowym *(Bevölkerungspolitisch)*, jak też wyżywienia *(Ernährungspolitisch)*.

Jak poważnie miasto wpływa na siły rozrodcze ludności ilustruje fakt, iż Berlin zdany na własne siły rozrodcze, bez dopływu sił nowych w wyniku emigracji, wymarłby w ciągu lat 150 zupełnie.

Wreszcie naród niemiecki, będący w roku 1910 jeszcze narodem młodym, w ciągu lat 20 stał się narodem starzejącym.

Ludność Rzeszy według wieku w %

Wiek	1910	1925	1933
Pon. 6 lat	14,6	12,0	9,4
6 — 14	17,8	12,8	14,7
14 — 45	48,4	50,7	49,2
45 — 65	14,8	19,3	20,2
65 i więcej	4,4	5,2	6,5

Demoralizacja społeczeństwa, która w wielkiej mierze spowodowała taką sytuację ludnościową, wyrażała się największą w Europie w 1931 r. ilością samobójstw. Liczba samobójstw wynosiła w tym roku w Niemczech 35‰, a w Austrii nawet powyżej 35‰.

Potwierdzała się w ten sposób teza, iż wskaźnik ilości samobójstw pozostaje do pewnego stopnia w odwrotnym stosunku do przyrostu naturalnego. Istnieje tu niewątpliwie związek przyczynowy: upadek moralności.

Tak w krótkim szkicu przedstawiał się stan ludnościowy Rzeszy w r. 1933.

Narodowi socjaliści, obejmując władzę, zrozumieli, iż z tak osłabionym, ba, wymierającym narodem nie da się urzeczywistnić wielkich koncepcji politycznych. W najlepszym razie każde osiągnięcie byłoby nietrwałe, skazane na upadek po kilku latach. Mit wiecznej, mocarstwowej III. Rzeszy w tych warunkach mało posiadał widoków realizacji. Wobec tego koniecznością było nakreślenie szerokiego programu ludnościowego, który miałby na celu nie tylko usunięcie braków, ale nawet doprowadzenie do wytworzenia rezerw.

Ciekawe dane o wyniku i zasadach narodowo socjalistycznego programu ludnościowego znaleźć można w atlasie *„Volk und Raum"*, opracowanym przez dra Richarda Korherra.

Jest rzeczą znamienną i dla statystyk III. Rzeszy charakterystyczną, iż w omawianym atlasie autor posługuje się danymi

prawie wyłącznie sięgającymi do r. 1933, a więc do czasu objęcia władzy przez narodowych socjalistów. Materiały statystyczne, dotyczące sytuacji ludnościowej III. Rzeszy, są stosunkowo bardzo szczupłe.

Mimo to, jeżeli zbierze się daty rozsiane po atlasie, to zilustrują one dość jasno skuteczność narodowo socjalistycznego programu ludnościowego. Czy była ona pozytywna, czy niemiecki program rozwiązał problem, o tym niech mówią dane.

*

Demografia niemiecka, badając z właściwą sobie systematycznością sytuację ludnościową Niemiec i szukając powodów katastrofalnego jej rozwoju, ustala tezę, iż powody zasadnicze i decydujące o katastrofie ludnościowej Niemiec są nie natury materialnej (gospod., społ., itp.), lecz przede wszystkim natury duchowej, moralnej. Mówiąc krótko, stwierdza, iż decydującym czynnikiem jest „narodu duch zatruty".

Rozwój cywilizacji przynosi ze sobą demoralizację. Wzbudza ona w człowieku instynkty egoistyczne i powoduje zracjonalizowanie całego życia. To z kolei zabija w człowieku miłość do potomstwa, którego posiadanie utrudnia mu życie i na którego rzecz rezygnować musi częstokroć z wielu przyjemności. Człowiek nie chce na rzecz drugiego — choćby żony czy dziecka — oddać tych udogodnień, którymi darzy go cywilizacja.

Ta postawa jednostki zadecydowała też o rozwoju ludnościowym Niemiec.

Względy natury gospodarczej czy społecznej miały znaczenie drugorzędne. Dr Korherr uzasadnia to poniższym rozważaniem:

„Przy powoływaniu się na stronę gospodarczą problemu rodności, zapomina się o 100 latach, pełnych i biedy i bogactwa, pełnych kryzysów i nowych koniunktur, lecz równocześnie opadającej mimo to jednocześnie i stale sile żywotnej. Zapomina się, iż cofanie się rozrodczości nie rozpoczęło się w przeludnionych krajach i wśród najuboższych warstw, ale właśnie tam, gdzie była przestrzeń do życia, gdzie rządził „postęp", gdzie był gospodarczy rozkwit i nasycony brzuch.

Cofnięcie się liczby urodzeń jest więc wynikiem nie tego, iż ludzie nie mogli mieć dzieci, ale tego, że ich *nie chcieli* mieć".

Ta niechęć spowodowana jest brakiem miłości do dziecka. Jest ona jak gdyby impotencją psychiczną cywilizowanego „mózgowca".

Jak wynika z powyższego, nauka niemiecka napiętnowała zdecydowanie zasadnicze momenty problemu, szukając ich w dziedzinie nie gospodarczej, lecz moralnej.

Mimo jednak, że stwierdzenie takie wskazuje wyraźnie, gdzie tkwi źródło ujemnego zjawiska — polityka ludnościowa III. Rzeszy oparta została o program zupełnie zbudowany na przesłankach przede wszystkim właśnie natury materialistycznej.

Wsparcia, pożyczki i zapomogi — jednym słowem pieniądz — oto są główne środki, zapomocą których III. Rzesza postanowiła leczyć „psychiczną impotencję" ludności.

Oznacza to, iż wbrew teoretycznemu stanowisku za główne źródło zła uznano w posunięciach praktycznych ciężkie warunki gospodarcze. Albo też — co prawdopodobniejsze — chodziło o możliwie rychłe skutki, choćby za cenę pogorszenia zła na dalszą metę?

Trzy zasadnicze momenty problemu ludnościowego starano się rozwiązać następująco:

Ilość małżeństw miała być podniesiona przez udzielanie pożyczek małżeńskich *(Ehestandsdarlehen)*. Przy czym w ostatnich tygodniach podwyższono także podatek na kawalerów i bezdzietnych.

Urodzenia postanowiono pomnożyć przez udzielanie zapomóg na dzieci, wsparć bieżących i jednorazowych *(Kinderbeihilfe, Kinderreichenbeihilfe)*. Jednocześnie umożliwiono spłatę pożyczki małżeńskiej płodzeniem dzieci. Ustalony w ostatnim czasie order dla matek co najmniej czworga dzieci jest małą próbą podejścia do zagadnienia z innej strony.

Wreszcie odnośnie ucieczki ze wsi do miast podjęto również akcję premiowania pieniężnego za co najmniej 5-letni pobyt na wsi. Nadto udostępniono gospodarzom tanie kredyty.

Oto główne kroki, podjęte w III Rzeszy przeciwko cofającemu się rozwojowi ludności, przy czym sumy wydane na ten cel są ogromne.

Uprzywilejowania innego rodzaju, np. pierwszeństwo przy udzielaniu pracy żonatym i posiadającym dzieci, zrazu aktualne, straciły o tyle znaczenie, iż w Niemczech panuje dziś raczej brak rąk do pracy.

W dziedzinie ustawodawczej podjęto kroki, które mają na celu przede wszystkim jakościowe uregulowanie problemu przyrostu naturalnego. Należą tu „ustawy norymberskie", „ustawa o zapobieganiu płodzeniu dziedzicznie chorego potomstwa" *(Gesetz zur Verhütung erbkranken Nachwuchses)* oraz niektóre ustawy socjalne.

Ważniejszą z tych ostatnich jest „ustawa o zagrodach dziedzicznych". Rolnik, jako najzdrowszy element społeczeństwa, miał zagwarantować przyszłość narodu jako „źródło krwi". Ustawa mówi we wstępie wyraźnie, iż chłop niemiecki ma być „źródłem krwi".

Określając program ten ogólnie, dr Korherr powiada, iż dążono do zwalczania katastrofy ludnościowej przez: „zlikwidowanie bezrobocia, politykę podatkową, wsparcia dla rodzin o licznym potomstwie, stworzenie instytucji „Matka i Dziecko", a przede wszystkim przez wprowadzenie pożyczek małżeńskich".

Zastanawiając się raz jeszcze, dlaczego właśnie zbudowano program w oparciu o przesłanki materialistyczne, nie sposób nie zauważyć, że może to być jedynie konsekwencją materialistycznego w gruncie rzeczy podłoża światopoglądu narodowego socjalizmu.

Światopogląd narodowo socjalistyczny — wbrew pozorom — jest bowiem światopoglądem w gruncie rzeczy wybitnie materialistycznym.

Naród, jako podwalina tego światopoglądu, jest wspólnotą materialną, wspólnotą krwi. Krew w narodowym socjalizmie nie jest pojmowana jako pewien węzeł wartości ideowej (jak np. w rodzinie), ale zupełnie wyraźnie jako pierwiastek biologiczny.

Jeżeli więc narodowy socjalizm u podłoża swego działania postawił przesłanki światopoglądu materialistycznego, to nie jest niespodzianką i to, że polityka ludnościowa oparta została również o przesłanki materialistyczne.

Jakież jednak są dotychczas wyniki tejże polityki?

Dr Korherr pisze odnośnie małżeństw:

„Po wprowadzeniu pożyczek małżeńskich liczba małżeństw wzrosła od sierpnia, a zwłaszcza w 4-ym kwartale 1933 r. do tego stopnia, iż liczono w roku tym o 23,6% więcej małżeństw niż w 1932 r.

W roku 1934 zawarto znowu w Rzeszy małżeństw o 101.592, czyli o 15,8% więcej, niż w r. 1933.

W roku 1935 nastąpiło odnośnie liczby zawartych małżeństw cofnięcie o 88.730, czyli o 12% w stosunku do 1934 r.

W roku 1936 dalsze cofnięcie o 41.665, czyli o 6,4% w stosunku do r. 1935.

Ilość małżeństw zawartych

Rok	Liczba	± % w stosunku do roku poprzedniego
1933	639000	+ 23,6
1934	740592	+ 15,8
1935	661842	— 12,0
1936	620177	6,4

Z tabelki wynika cofanie się ilości małżeństw do r. 1936. Brak danych za rok 1937 raczej wskazuje, że cofanie to nie zostało wstrzymane.

Autor zmniejszenie się liczby małżeństw wyjaśnia. Mianowicie:

„Śluby odłożone w latach kryzysu zostały nadrobione teraz (1933 i 1934), a to z powodu polepszenia się sytuacji gospodarczej, udzielania pożyczek małżeńskich, przede wszystkim zaś z powodu powrotu zaufania do rządu. Odtąd częstotliwość małżeństw powróci zapewne do stanu normalnego, tzn. do liczby, której oczekiwać można wedle stanu zdatnych do małżeństwa mężczyzn w normalnych stosunkach".

Tego rodzaju tłumaczenie spadku ilości małżeństw ma swoją rację i przekonywuje. Tym bardziej, jeżeli uświadomimy sobie fakt, iż dla wielu młodych ludzi, nie posiadających w pierwszych latach (1933 i 1934) III. Rzeszy pracy, małżeństwo i związana z tym pożyczka były skwapliwie wykorzystywanym interesem, jako jedyna okazja i możliwość przebrnięcia przez życie. Inną jest rzeczą, ile z tych małżeństw dalej prowadzi wspólne życie po wyczerpaniu pożyczki i jak się to wyrazi pod względem moralności społecznej.

A jednak sytuacja nadal jest niepokojąca, gdyż liczba małżeństw w następnych latach będzie nadal spadać. Autor atlasu uzasadnia to następująco:

„Nadchodzą obecnie ubogie pod względem przyrostu naturalnego roczniki wojenne z lat 1915—1918".

Oto tabelka ustalona według danych dra Korherra:

Ilość mężczyzn zdatnych do małżeństwa z roczników:

Rocznik	Ilość mężczyzn
1912	627939
1914	598230
1915	467842
1916	354467
1917	317630
1918	331020

Jak się okazuje, spadek ilości mężczyzn zdatnych do małżeństwa jest bardzo poważny. Faktowi temu nie zdoła zapobiec nawet najwspanialej rozwinięta akcja, gdyż „nie może się więcej żenić, niż istnieje mężczyzn". Stan poprzedni nie zostanie już nigdy osiągnięty.

Przytoczone zdanie, wyjęte z atlasu, wymownie podkreśla, iż Niemcy, wobec dalszego cofania się pod względem ludnościowym, stoją bezradni. Faktu tego nie mogą zmienić ani pożyczki, ani wsparcia.

d. n.

Zbigniew Domaniewski

Hiszpański imperializm

W ciągu ostatnich kilku tygodni prasa międzynarodowa miała kilkakrotnie sposobność zajmować się domniemanymi czy istotnymi tendencjami imperialistycznymi nowej Hiszpanii. Genezą tego zainteresowania były pewne artykuły w dziennikach włoskich i niemieckich, głoszące, że niesiona prądem młodego imperializmu Hiszpania gen. Franco i „Falangi" postawi niebawem na porządku dziennym polityki międzynarodowej własne rewindykacje kolonialne. Prasa włoska i niemiecka głośno wołają, że zwycięzcy w wojnie domowej na półwyspie Iberyjskim pragną odrodzić Hiszpanię nie tylko jako mocarstwo europejskie, lecz również jako potęgę wszechświatową, jaką Hiszpania niegdyś była.

Na temat hiszpańskiego imperializmu pisze się na razie bodaj więcej w Niemczech i we Włoszech, niż w samej Hiszpanii. Wskazuje to na łatwą do pojęcia okoliczność, że osi Berlin—Rzym musi zależeć na rozbudzeniu tego imperializmu. Pragnienie zrozumiałe, gdy zważyć, że hiszpański imperializm kolonialny nie mógłby się rozwinąć bez wejścia w konflikt z Anglią i Francją. Mimo jednak zastrzeżeń, nasuwających się w związku z włosko-niemiecką grą dokoła hiszpańskiego imperializmu, należy uznać, że zagadnienie to godne jest bacznej uwagi. Hiszpania, obok Portugalii, była pierwszym nowoczesnym mocarstwem europejskim, które posiadało imperium kolonialne, a żyjemy dziś w czasach, kiedy odradzające się narody powracają do celów życiowych, jakie im przyświecały w najświetniejszych okresach przeszłości. Francuz Rémy de Bourbon sądzi, że „nic tak nie zachwyca ludzi, jak nowe motywy, które daje się dawnym praktykom". Jeśli naprzykład narodowy socjalizm i faszyzm otoczone są istotnie w Niemczech i we Włoszech zachwytem, to należałoby wnioskować z powyższego aforyzmu, że jedną z przyczyn zachwytu jest kierunek polityki zagranicznej hitlerowskich Niemiec i faszystowskich Włoch: Drang nach Osten i dążenie do odbudowy klasycznego imperium rzymskiego. Możemy wręcz przyjąć z całą pewnością, że wysunięcie obu tych haseł polityki zagranicznej było jedną z nieuniknionych konieczności psychologiczno-taktycznych, jakie nasunęły się przywódcom obu ruchów w czasie walki o władzę państwową: chodziło o to, aby nacjonalizm i faszyzm były nowymi motywami dawnych praktyk politycznych. A w takim razie, cóż bardziej możliwego i prawdopodobnego, jak to, że gen. Franco, idąc za przykładem Hitlera i Mussoliniego, wykorzysta hasło imperializmu kolonialnego jako dźwignię w ideologicznej walce wewnętrznej. Stare praktyki i możliwe nowe typy hiszpańskiego imperializmu — oto nowy problem polityki międzynarodowej.

Zatrzymajmy się przez chwilę przy starych praktykach. Przypomnijmy sobie przede wszystkim, że w czasach, kiedy zaczęło powstawać hiszpańskie imperium kolonialne, Hiszpania to była w gruncie rzeczy sama tylko Kastylia. Królestwo Aragonii obejmowało, poza właściwą Aragonią i Katalonią, Sardynię, Sycylię i Neapolitanię, przy czym polityczny i gospodarczy punkt ciężkości królestwa spoczywał na półwyspie Apenińskim. Aragonia nie była ani hiszpańska, ani italska, tylko ś r ó d z i e m n o m o r s k a; miała niejako geograficzną narodowość. Natomiast Kastylia, mimo posiadanych wybrzeży Atlantyku nawskroś kontynentalna, w pełni iberyjska, była narodowo h i s z p a ń s k a. Ze względów narodowych — będąc hiszpańską, oraz ze względów geograficznych — będąc zwróconą przez dolinę Guadalquiviru ku Atlantykowi, jedna tylko Kastylia mogła podjąć kolonialną akcję oceaniczną, w imię interesów hiszpańskich, iberyjskich. Oceaniczna działalność Hiszpanii w początkach XVI wieku była też niemal wyłącznie dziełem Kastylii, nosiła piętno jej struktury gospodarczej i jej ducha. Działalność ta była zjawiskiem politycznym następującym bezpośrednio po rekonkwiście, po siedmiu stuleciach walk, toczonych wprawdzie z najeźdźcą, a więc walk narodowych, lecz z wielkim udziałem dynamizmu mistyczno-religijnego, a więc ideologicznego. Rezultatem kilku stuleci walk z Maurami było wytworzenie na terenie półwyspu Iberyjskiego typu człowieka, dla którego w a l k a, toczona w imię jakiejś m i s t y k i, a równocześnie w pogoni za z ł o t e m, rabowanym dawniej w zdobytych zamkach Maurów, stanowiła nieodpartą konieczność życiową. Ten stan psychiczny panował w całej Hiszpanii, lecz Kastylia, dziedzina życia koczowniczego, oddana pasterstwu, wojnie lub bandytyzmowi, była szczególnie wypełniona takim duchem. I dlatego też hiszpańska ekspansja kolonialna — dzieło Kastylii, postawiła sobie jako cel otworzenie nowych terytoriów, gdzie można by nawracać lub tępić niewiernych, a w każdym razie rabować im złoto. Taki był duch rekonkwisty, która oddała Hiszpanom Hiszpanię, takim stał się potem duch zamorskiej konkwisty, która im dała imperium. Hiszpański imperializm kolonialny zjawił się jako zamorska ekspansja dynamizmu, który uprzednio wyładowywał się na terenie półwyspu Iberyjskiego.

Imperializm ten nosił w sobie od pierwszych chwil zadatki politycznego i gospodarczego niepowodzenia. Ani warunki naturalne Kastylii, ani sytuacja wewnętrzna nie usprawiedliwiały w końcu XV i w początku XVI stulecia podjęcia polityki kolonialnej. Za złoto, zdobyte w ostatnich zamkach Maurów, dwór kastylski wyekwipował w 1492 r. wyprawę Kolumba, mającą przywieźć z powrotem dziesięciokroć więcej złota. Wyprawa Kolumba nie była rezultatem gospodarczego rozwoju i potrzeb kraju; zanim jeszcze naród zdążył zaludnić macierzyste ziemie odebrane Maurom i zespolić się w kontynentalnych ramach, królowie pchnęli go za ocean. Nie myśląc o kolonizacji wewnętrznej, o gospodarczej odbudowie kraju, zrujnowanego w epoce walk z Maurami — królowie hiszpańscy kolonizowali zamorskie ziemie. Polityka kolonialna dawnej Hiszpanii nie opierała się też na gospodarczym organizmie kraju, tylko na złocie, zabieranym Indianom w Ameryce. Dzięki temu złotu zwabiano z innych krajów europejskich do Hiszpanii znakomitych żeglarzy i budowniczych okrętów. Za to złoto sprowadzano z zagranicy ogromną większość wyrobów przemysłowych, potrzebnych w koloniach i w samej Hiszpanii. Jednym słowem złoto płynęło wartką rzeką z Ameryki do Hiszpanii, a z Hiszpanii odpływało za granicę. Zostawały w Hiszpanii jedynie przedmioty użytku, które, naturalną koleją rzeczy, szły po zużyciu do graciarni i ostatecznie rozsypywały się w pył. Zbyt mało myślano o rozbudowie przemysłu oraz innych dziedzin gospodarstwa krajowego i w ten sposób kolonie nie przyczyniły się do trwałego wzbogacenia Hiszpanii. Gdy nie posiadając już dostatecznej siły militarnej, w pierwszym rzędzie floty, Hiszpania straciła jeden za drugim najbogatsze obszary kolonialne i została z trzema pustynnymi skrawkami afrykańskiego wybrzeża, mogła, jak trafnie zauważył Salvador de Madariaga, uczynić podobną filozoficzną refleksję jak Sanszo Pansa: „urodziłem się nagi i pozostaję nagi. Nic nie straciłem, nic nie zyskałem". — Nagie pozostało państwo, które postanowiło opanować pół świata zanim jeszcze przez swój rozwój gospodarczy zdołało okryć się szatą z własnych bogactw naturalnych, państwo, które po bankructwie przedwczesnej ekspansji zamorskiej powróciło do punktu wyjścia — gospodarczego i politycznego bezładu. Polityka kolonialna Hiszpanii była niegdyś chaotyczną improwizacją. Bezład zaś, który stał się ostatnio przyczyną wojny domowej, był jednym z historycznych następstw załamania się polityki kolonialnej, podjętej przedwcześnie.

Patrząc na te wydarzenia przeszłości można odrazu spostrzec analogię między Hiszpanią XVI wieku, kolonizującą i wojującą za oceanem, a dzisiejszą Hiszpanią, gotową porwać się za nowymi hasłami kolonialnego imperializmu. „Posiadamy wolę imperialną... Hiszpania zacznie szukać chwały i bogactwa na drogach morskich... Utrzymujemy, że historyczna pełnia Hiszpanii jest w imperium... Przywrócimy armii lądowej, powietrznej i morskiej pełną god-

ność społeczną, na jaką zasługuje... Sprawimy, że wojskowe pojęcie życia wypełni całą hiszpańską egzystencję..."— głosi program Falangi, dzisiejszej hiszpańskiej monopartii, nakreślony w murach Madrytu, na kastylskim płaskowyżu. Jak imperializm przeszłości pozostawał w ścisłym związku przyczynowym z rozpętaniem wojującego mistycyzmu, tak i dzisiejszy hiszpański imperializm kolonialny zjawia się po wojnie, jest owocem walki ideologicznej. Jak dawniej, tak i dziś imperializm ten ma wszelkie cechy potrzeby ekspansji walki już ukończonej na terenie samej Hiszpanii: ekspansji walki z liberalizmem i marksizmem, jak dawniej z półksiężycem. Budzi się na kastylskim płaskowyżu, znów przybiera postawę mistycznego militaryzmu, nie dbającego o faktyczną treść i precyzję stawianych sobie celów. Przy tym, jak wczoraj tak i dziś, ten mistyczny militaryzm myśli o bogactwie, jako nagrodzie, o złocie, którego pragnienie również jest rdzenną cechą kastylskiego charakteru. A więc toż samo dążenie do zespolenia idealizmu z materializmem, które czterysta lat temu pchnęły za ocean mieszkańców egzaltowanej i chciwej Kastylii! Więcej jeszcze, bo ten sam układ gospodarczych warunków imperialnych planów Hiszpanii; ten sam układ — negatywnych warunków! — Podczas rekonkwisty zniszczony został aparat gospodarczy, w który wyposażyli Hiszpanię pracowici i gospodarni Maurowie: zniszczone zostały warsztaty przemysłowe, gospodarstwa rolne i ośrodki miejskie. Polityka religijna królów katolickich, która doprowadziła do wygnania resztek Maurów i Żydów, pozbawiła królestwo Kastylii jedynego jej gospodarnego elementu ludzkiego. Kastylianin nigdy nie był gospodarzem, a Katalonia, od wieków siedziba kupców i żeglarzy, była zajęta handlem śródziemnomorskim, trzymała się przez dłuższy czas zdala od oceanicznych imprez Kastylii. Dziś Hiszpania liczy ruiny, nagromadzone podczas wojny domowej z marksizmem i liberalizmem, w dodatku ruiny aparatu gospodarczego, który przedstawiał wiele do życzenia. Bomby i kule armatnie, egzekucje po jednej i drugiej stronie, oraz nieuniknione obecnie ze względów ideologicznych eliminowanie wielu najczynniejszych jednostek, zostawią w Hiszpanii dotkliwe luki w materiale ludzkim. Wreszcie, frankistowska Hiszpania, centralistyczna i despotyczna, widząca największe zło w tendencjach autonomicznych, będzie musiała z natury rzeczy zrazić do siebie nawet bliski jej ideologicznie odłam społeczeństwa katalońskiego, które jednomyślnie pragnie autonomii. Katalonizm jest zbyt silnym ruchem, posiada zbyt długie tradycje zwycięskich walk politycznych z Madrytem, żeby miał odrazu skapitulować przed Falangą, a Katolonia, jak wczoraj tak i dziś, jest ośrodkiem hiszpańskiej przedsiębiorczości kupieckiej, przemysłowej i żeglarskiej. Kolonialny imperializm hiszpański jako dzieło Falangi — to znów imperializm kontynentalnej i wojowniczej Kastylii w rozdźwięku z nadmorską i gospodarną Katolonią. Znów mistyczny imperializm bez gospodarczych i politycznych podstaw. Co najmniej przedwczesny imperializm.

Oczywiście do tego wniosku dochodzi się pozostając w sferze racjonalnej. Ściśle biorąc — w sferze pojęć liberalnej gospodarki i politycznego liberalizmu, które do dziś dnia panują nad naszym myśleniem. Lecz historia i teraźniejszość dają nam nie jeden przykład tego, jak jednostki i narody budowały wielkie rzeczy idąc drogą, która współczesnym wydawała się nieracjonalną, jeśli nie irracjonalną. Zresztą nic ponoć nie ma tak zachwycać ludzi, jak nowe motywy, a więc i nowe metody, dawane starym praktykom. Cóż więc może bardziej zachwycić, a tym samym porwać do czynu hiszpańskich falangistów, jak nie zastąpienie ekonomicznych „praw naturalnych" wolą państwa, czyli przejście od ekonomii liberalnej do ekonomii etatystycznej, potrafiącej nie liczyć się z rzeczywistością. Liberalizm stworzył pojęcie „człowieka gospodarczego", faszyzm i nacjonalsocjalizm widzą swój ideał w „człowieku bohaterskim"; w państwach totalnych pobudki polityczne, często duchowe i irracjonalne, zastąpiły racjonalne pobudki ekonomiczne. Irracjonalizm jest rdzenną cechą kierunków politycznych, których gen. Franco i Falanga są epigonami, jest on w dodatku rdzenną cechą hiszpańskiego charakteru. Madariaga, polityk i filozof, przeprowadza analizę porównawczą między charakterem Francuza, Anglika i Hiszpana, dochodząc do wniosków, dla nas niezwykle cennych. Zdaniem Madariagi Francuz jest człowiekiem prawa, kalkulatorem; Anglik człowiekiem czynu i przyjacielem „fair-play", typem sportowca, całkowicie zespolonego z regułami gry. Francuz stwarza plan, regułę, która go zmusza do działania; u Anglika fair-play i działanie idą w parze, plan i działanie podlegają sobie nawzajem. Natomiast Hiszpan jest człowiekiem wewnętrznego cierpienia, sentymentu, postawy moralnej, a więc honoru, stającego się u niego namiętnością. U Hiszpana działalność wynika z honoru — namiętności, działalność jest pierwotną i podświadomą potrzebą. Dopiero gdy się rozwinie i nabierze siły, szuka sobie planu; działalność poprzedza plan. Dlatego też hiszpański imperializm może stać się racjonalny i planowy dopiero gdy się rozwinie i nabierze rozmachu. Teraz wystarcza, że hiszpańscy falangiści czują „wolę imperialną"; wystarcza, iż sprawa Imperium wydaje im się sprawą honoru narodowego: — dziś hiszpański nacjonalizm jest tylko namiętnością, imperatywną potrzebą działania. Tej potrzeby nie powstrzymają żadne nauki historii, żadne wskazania gospodarczej i politycznej rzeczywistości, jeśli tylko ta potrzeba okaże się silna i trwała.

Tym bardziej zaś można się spodziewać takiego irracjonalnego imperializmu, że jego cele mogą być ideologiczno-polityczne. Na terenie ideologicznym, jak w XVI stuleciu katolickie papiestwo z siedzibą w Rzymie, tak dziś polityczne papiestwo z siedzibą w Berlinie, zachęci Hiszpanię i weźmie ją pod ramię, by poprowadzić do własnych celów. Już przed wielką wojną Hiszpania leżała na magistrali politycznej, którą poprowadzono na Wilhelmstrasse na mapie świata z Berlina do stolic południowo-amerykańskich. Od czasów przedwojennych nie zmieniły się cele, tylko środki działania Berlina; stały się mniej gospodarcze, więcej ideologiczne. Otóż właśnie ideologiczne poczynania Niemiec w państwach południowo-amerykańskich skończyły się przed rokiem całkowitym fiaskiem. Zbyt widoczne były istotne cele niemieckich apostołów ideowego odrodzenia. Teraz z kolei Hiszpania może być apostołem nowej wiary. Hiszpania jest matką wszystkich, poza Brazylią, państw południowo - amerykańskich. Madryt miał przed wojną domową silny wpływ kulturalny w stolicach hiszpańsko-amerykańskich. Jeśli więc nie przyjął się i nie spełnił swego politycznego zadania nacjonalsocjalizm przyniesiony bezpośrednio z Berlina, to może jednak przyjmie się, gdy zjawi się w hiszpańskim opakowaniu. Rzymskie papiestwo dało Hiszpanii glejt na szerzenie w Ameryce Południowej chrześcijaństwa, dlaczegóż dzisiejsze berlińskie papiestwo nie miałoby podsunąć Madrytowi misji szerzenia nazi-faszyzmu? Nowe motywy dla podjęcia na nowo starych praktyk!

Hiszpania posiada również tradycje działań śródziemnomorskich. Przez usta swego Caudillo oświadcza, że jest odrodzonym mocarstwem śródziemnomorskim, z którym każdy musi się liczyć, gdy mowa o sprawach tego obszaru. Dla hiszpańskich falangistów Morze Śródziemne, to idealny obszar dla ekspansji ukończonej już na terenie Hiszpanii walki ideologicznej z „wielkimi demokracjami". Jak w XV stuleciu za czasów królestwa Aragonii, tak i dziś, gospodarczy i polityczny środek ciężkości śródziemnomorskiej polityki Hiszpanii leży nie na półwyspie Iberyjskim, tyko Apenińskim, w Italii. Hiszpański imperializm, który budzi się i może przejść jutro do czynów, będzie dla faszystowskiego Rzymu narzędziem niezwykle racjonalnej, własnej polityki. Hiszpania gen. Franco, to dla Rzymu taran, którym Rzym pragnąłby bić w śródziemnomorskie pozycje mocarstwowe Francji i Anglii, aby je zniszczyć i pozostać sam na sam z Hiszpanią, dawną prowincją rzymską. Hiszpania może widzieć we własnej silnej pozycji politycznej na Morzu Śródziemnym sprawę honoru narodowego, lecz narazie honor ten da się zaspokoić jedynie przez działanie włoskiej floty, opartej o hiszpańskie bazy. W śródziemnomorskiej orbicie imperialne osiągnięcia Hiszpanii, to polityczna fikcja lub rzymska niewola. Lecz hiszpańska namiętność nie dba o rzeczywistość. Czuje tylko potrzebę działania.

Hiszpański imperializm jest narazie tylko jednym z haseł programowych Falangi. Nam wyda się hasłem irracjonalnym i nierealnym, osi Berlin-Rzym podoba się jako idealne narzędzie własnego imperializmu. Dla Hiszpanów wola imperialna może jed-

nak stać się niebawem imperatywem, szczególnie gdy ta namiętna wola zostanie zewnątrz zręcznie rozbudzona i podtrzymana. Dlatego też jako polityczna możliwość, powiedzmy nawet jako polityczne prawdopodobieństwo, hiszpański imperializm, to realny problem polityki międzynarodowej. Można weń wierzyć, można nie wierzyć. Można lekceważyć go lub dopatrywać się w nim przyczyny bliskich wielkich wydarzeń. Lecz w każdym razie pamiętać o tym nowym czynniku polityki międzynarodowej.

Zbigniew Brzezicki

Kartel nauki

Można już chyba zaryzykować twierdzenie, że jesteśmy w przededniu nowej reformy szkolnictwa wyższego. Będzie to trzecia zasadnicza zmiana w życiu akademickim Polski niepodległej. Poprzednia, druga z kolei, nie doprowadzona do końca i na dodatek osłabiona późniejszymi następstwami tkwi żywo w pamięci ogółu. Zatarło się natomiast wspomnienie piewszej z nich, prawda, że bardzo dawnej. A przecież warunki, w jakich była dokonywana i jej zasadnicze cele zarówno żywo przypominają chwilę obecną, jak i zawierają cenne dla nas wskazówki. Była to reforma Kołłątaja.

Imie Kołłątaja w pamięci ogółu splotło się nierozerwalnie z „Kuźnicą" i z sejmem czteroletnim. Niedarmo najczęściej wyrażała je znana piosenka: „wiwat maj, trzeci maj, wiwat wielki Kołłątaj". Natomiast silnie zatarła się już świadomość tego, że Kołłątaj był nie tylko publicystą i działaczem politycznym, lecz także i wielkiem reorganizatorem szkolnictwa akademickiego, ściślej — jedynej wtedy w Koronie — Akademii krakowskiej.

Trudne to było zadanie. Cześć i szacunek, jaką otaczano Akademię ze względu na jej wielką i dawną tradycję, nie szły zupełnie w parze z jej stanem ówczesnym. W istocie rzeczy Akademia była na dnie upadku. Przestarzała organizacja, staroświeckie, mało użyteczne programy, zabagniona gospodarka, wieczne awantury uczniów z Żydami i inowiercami — wszystkie te czynniki zabijały myśl twórczą. Jakakolwiek reforma, forsowana z zewnątrz, była bardzo utrudniona ze względu na stare przywileje, niejednokrotnie w ciągu wieków potwierdzane, a później nawet zaprzysięgane przez każdego króla przy koronacji. Oprócz prawa w obronie autonomii działała też i tradycja.

Z trudnego zadania naprawy wywiązał się Kołłątaj, zrazu wizytator, potem rektor Akademii, w sposób doskonały. Gruntownej zmianie uległ skład ciała profesorskiego, zmieniono organizację i programy nauczania, uzdrowiono gospodarkę, zaprowadzono wewnątrz uczelni ład i porządek. Wyniki nie dały na siebie długo czekać. Już po paru latach Akademia doszła do stanu kwitnącego. Kołłątaj wrócił do Warszawy jako triumfator. Osiągnięcia krakowskie zapewniły mu autorytet, który stał się podstawą następnego, uwieńczonego pieśnią, okresu jego działalności, niestety — zakończonego bezporównania mniej chlubnie, niżeli rozpoczętego.

Oczywiście nie obeszło się bez walki. Wszystkie jej elementy ideowe znamy nawet bez studiów historycznych. Dość wspomnieć, że nawet modny dziś motyw „gleichschaltungu" znalazł tam pełne zastosowanie przy okazji zmian w przepisach uposażeniowych. Tak samo również pełno było lamentów o „bezprawne" usuwanie „wybitnych uczonych".

Osobiste wartości reformatora nie były jedyną przyczyną powodzenia. Decydował fakt inny. Nie mechaniczna koncepcja porządku, ale żywy, wszechstronny prąd odrodzeńczy usuwał opory i nieraz nawet skłaniał do współdziałania ludzi tracących posiadane beneficja. Jaskrawym przeciwstawieniem tego obrazu była słuszna w zasadzie reforma z 1933 roku.

Ta właśnie przeciwstawność musi stanowić punkt wyjścia dla wszelkich rozważań o uzdrowieniu życia akademickiego. Mamy dziś sytuację w niektórych punktach zbliżoną do tej, jaką zastał Kołłątaj w Krakowie. Zagadnienia polityczne i policyjne terenu akademickiego, choć najbardziej dziś palące i najsilniej obrażające nasze poczucie harmonii, w istocie rzeczy stanowią czynnik wtórny. Nawet w tym wypadku, gdyby na uniwersytetach nie szalały bojówki, gdyby na eksterytorialnym terenie nie było prywatnych arsenałów ani bezsensownych, przepełnionych oszczerstwami wieców — nawet w tym wypadku stan wyższych uczelni pozostawiałby bardzo wiele do życzenia.

Przejrzyjmy po krótce te niedomagania. Najbardziej rzuca się w oczy brak jakiegokolwiek rozwiązania zagadnień wychowawczych. U jego podstaw leżą głębokie wady strukturalne. Całkowicie wygasły samorzutne oddziaływania wychowawcze dawnych wspólnot akademickich. Zabiła je nadmierna liczebność szkół. Uczelnie polskie biją światowe rekordy liczebności studentów (Uniwersytet Józefa Piłsudskiego liczy ich bez mała dziesięć tysięcy). Winę tego należy przypisać wadliwej polityce oświatowej, która w imię złudnej oszczędności, zamiast tworzenia nowych szkół akademickich, nadmiernie rozwijała istniejące.

W parze z tym idzie niezwykle duże obciążenie personelu nauczycielskiego. W ślad za jednym z rektorów wielokrotnie już powtarzano w prasie, że kiedy w niemieckich „Technische Hochschule" jeden profesor przypada na 15 studentów, to w Politechnice Warszawskiej — jeden na 75. Bardzo podobnie układają się liczby docentów i asystentów. Błędna polityka władz doprowadza do tego, że bardzo często przy katedrach i w instytutach badawczych pomocnicze siły naukowe nasycone są stosunkowo słabszym i mniej wartościowym elementem. Wreszcie struktura wiekowa świata profesorskiego w zestawieniu z niepomiernie niską liczbą docentów skłania do obaw, że grożący w najbliższym czasie gwałtowny wzrost zapotrzebowania na kandydatów do obsady opróżniających się katedr nie będzie mógł być pokryty siłami krajowymi.

Te ciężkie wady strukturalne, w połączeniu z przypadkowo dokonywanym w gorączkowej, powojennej atmosferze doborem znacznej części personelu nauczającego, spowodowały poważne niedomagania dydaktyczne. Prawie we wszystkich typach szkół i wydziałów programy nauczania są od dawna bardzo silnie atakowane. Nie znaczy to jednak, aby pożądane zmiany były realizowane. W najbardziej jaskrawym przypadku — na wydziałach prawnych — jedyną przeszkodą na drodze do upragnionej przez cały świat prawniczy reformy, jest opór kilkudziesięciu członków akademickich rad wydziałowych.

Wydziały prawne dostarczają jeszcze jednego przykładu, jak wadliwie jest zorganizowane u nas szkolnictwo akademickie. Kilkakrotnie ogłaszano, że liczba wydawanych dyplomów prawniczych prawie dokładnie dwa razy przewyższa istniejące na rynku pracy zapotrzebowanie. Pomimo tego nie widać żadnych prób skierowania młodzieży, z musu cisnącej się na wydziały prawne, do innych kierunków studiów, gdzie od dłuższego już czasu występuje brak fachowców. Nie widać nawet chęci usunięcia tego stanu rzeczy. Nieżyjący już, bardzo wnikliwy obserwator życia akademickiego, ś. p. Adam Piasecki, tłumaczył tę dziwną uległość względami gospodarczymi: wydziały prawne są dla uczelni przy istniejącym systemie budżetowym dochodowe. Lecz jeśli tak — to o stronie moralnej tego zagadnienia lepiej już nie wspominać.

Na zakończenie tego ponurego przeglądu jeszcze jeden problem — może najcięższy. Wskazano już, że szkoły wyższe są

dziś bardzo przepełnione. Za parę lat, kiedy o bramy uniwersyteckie uderzy fala „pełnych" powojennych roczników, uczelnie znajdą się w bardzo ciężkiej sytuacji. Podobne trudności przeszło szkolnictwo średnie w latach 1934—1937. Na przestrzeni pięciolecia 1928—1933 liczba uczniów w pierwszej klasie gimnazjum nowego typu utrzymywała się około 25 tysięcy, w roku 1935/36 wynosiła ona już 47 tysięcy. W siedem lat po tej dacie, a więc już w 1942/3 ta sama fala zaatakuje uczelnie wyższe. Rozwój szkół akademickich staje się więc nieodpartą koniecznością.

W obliczu tych wszystkich palących zagadnień kwestia teoretyczna form prawnych szkolnictwa wyższego schodzi bodajże na plan drugi. Konieczna w tym zakresie naprawa może być przeprowadzona zarówno przy zachowaniu autonomii uczelnianej jak i po jej odrzuceniu. Jeżeli jednak zagadnienie autonomii staje się z dnia na dzień coraz bardziej dyskutowane, to przyczyna leży nie tylko w werbalizmie, płynącym z nadmiernego kultu doktryny. Problem autonomii stał się obecnie problemem kompetencji.

Na pytanie, kto ma dokonać reformy, ostateczna odpowiedź nie została jeszcze postawiona. Przy jej szukaniu narzuca się jednak motyw decydujący. Spośród tysiąca wykładających w Polsce profesorów wyższych uczelni, tylko nieliczni dali publiczny wyraz trosce o to, by akademie mogły podołać włożonym na nie zadaniom. Jednakże nie oni nadawali i nadają dotąd ton życiu akademickiemu. W samorządowych organach uczelnianych, uparcie strzegących swego prawa wyłączności, zapanowała z biegiem lat jakaś jak gdyby kartelowa atmosfera. A przy okazji wielu zagadnień zawsze występuje jedno i to samo zjawisko, że kartele nie chcą żadnych reform i nie są zdolne do ich przeprowadzenia. Stąd też z zagadnienia kompetencji musi być znalezione wyjście, które by zapewniło istotną możność reformy dzisiejszego stanu, chociażby nawet z ograniczeniem tak ściśle z tradycją związanego i dlatego tak nieskorego do reform kartelu, jakim jest dzisiejszy faktyczny kartel organizacji nauki.

Tomasz Piskorski

Protektoraty niemieckie

Fakt roztoczenia proktektoratu Trzeciej Rzeszy nad okrojonym państwem czeskim nasuwa konieczność zastanowienia się nad tym, czy, istotnie, ostatnio wytworzony stosunek prawny między Niemcami, a obecnymi Czechami łącznie z Morawami, nazwać można protektoratem.

Cóż to bowiem jest właściwie protektorat? Polskie prawo międzynarodowe publiczne nie daje tu wyraźnej, zdecydowanej definicji. W każdym razie co do jednego nie ma wątpliwości, a mianowicie, że przez obszar objęty protektoratem, uważać należy kraj, ograniczony w swym zwierzchnictwie, przy czym ograniczenie to przejawia się przede wszystkim na tle stosunków wojskowych i zagranicznych *) Protektorat występuje głównie: 1) w formie zależności lennej, powodującej obowiązek płacenia suwerenowi daniny i dostrczania mu siły zbrojnej; 2) w formie tzw. państewek kolonialnych. Pierwszą z wymienionych dobrze pamiętamy z historii średniowiecza i czasów nowożytnych. W naszych własnych dziejach niejednokrotnie mieliśmy przykłady zależności lennej. Najpierw, gdy w okresie piastowskim, w momentach naszej słabości państwowej, cesarstwo niemieckie probowało nieraz (z różnym dla siebie skutkiem) uczynić z Polski kraj lenny. Po tym myśmy występowali w roli suwerenów. I tak: Bolesław Krzywousty w stosunku do brata Zbigniewa i niektórych książąt pomorskich; Kazimierz Wielki — w stosunku do Mazowsza (1359 r.), Władysław Jagiełło — Mołdawii i Wołoszczyzny (1387 r.). Wreszcie: lenna Prus Książęcych (1466 r.) i Kurlandii (1561 r.) Ostatnim przykładem wasalstwa w Europie była Bułgaria, która na zasadzie Traktatu Berlińskiego z dn. 13 lipca 1878 r. stała się księstwem lennym Turcji i była nim do dn. 5 października 1908 r., kiedy to Ferdynand I Koburski ogłosił niepodległość swego kraju. Jeśli chodzi o drugą najczęstszą formę protektoratu — państewka kolonialne, to przykładów dostarcza nam obficie szereg krajów w innych częściach świata, tak w przeszłości, jak i w teraźniejszości.

Równolegle z poważnym zwężeniem w protektoracie zwierzchnictwa w zakresie stosunków międzynarodowych, zwężeniem, które zazwyczaj przechodzi w ogóle w objęcie całkowitego prowadzenia spraw zagranicznych przez państwo suwerenne, — idzie w parze pozostawienie danemu krajowi mniej lub więcej szerokiej autonomii w sprawach wewnętrznych. Po tej uwadze spójrzmy teraz na postanowienia dekretu Hitlera „O Protektoracie Czech i Moraw" („Erlass des Führers über das Protektorat Böhmen und Mähren"),[1]) ogłoszonego w dn. 16 marca 1939 r. w Pradze.[2])

Część wstępna dekretu, rozpoczynająca się od słów: „Przez tysiąclecie kraje czesko-morawskie należały do obszaru życia niemieckiego narodu", jak zwykle w aktach o charakterze prawno-ustrojowym, ma jedynie znaczenie czysto deklaracyjne i — pominąwszy zastrzeżenia, jakie mogłyby się tu nam nasunąć z punktu widzenia historycznego — nie przedstawia dla nas większej wagi.

Natomiast już art. 1 dekretu zawiera przepis, który, jak cień, pada na całość tego aktu, przesądzając o kruchych podstawach odrębności nowego tworu. Gdy bowiem w ust. 1 artykułu zostało powiedziane, iż: „Terytoria byłej Republiki czecho-słowackiej, zajęte przez wojska niemieckie w marcu 1939 r., należą odtąd do obszaru Wielkiej Rzeszy Niemieckiej i podlegają jej opiece, jako „Protektorat Czechy i Morawy", to w ust. 2 czytamy dosłownie: „Kanclerz może zarządzić odchylenie od tego przepisu dla poszczególnych części tych obszarów, o ile wymagać tego będzie obrona Rzeszy *(„die Verteidigung des Reiches")*. Czyż można żywić złudzenie, że interesy owej „obrony" nie pociągną za sobą w niedługim już czasie wydzielania, przeprowadzanego ze znaną niemiecką systematycznością i konsekwencją, całych gmin czy powiatów.

Szczególnie dotkliwy cios dla poczucia narodowego Czechów stanowić musi art. 2 dekretu, przeprowadzający podział ludności na: 1) „niemieckich mieszkańców Protektoratu", którzy „stają się obywatelami niemieckimi *(„deutsche Staatsangehörige")* i obywatelami Rzeszy *(„Reichsbürger")*" i którzy podlegają postanowieniom „o ochronie niemieckiej krwi i niemieckiego honoru i są objęci przez „niemieckie sądownictwo" oraz 2) „pozostałych mieszkańców Czech i Moraw", którzy „stają się obywatelami *(„Staatsangehörige")* Protektoratu". Dziwnie nam to przypomina praktykowany przez starożytnych Rzymian podział ludności w podbitych prowincjach na pełnoprawnych obywateli: *„cives romani"* i na resztę mieszkańców: *„peregrini"*. Zróżniczkowanie ludności na dwa rodzaje i wyraźne moralne (w duchu ideologii narodowo-socjalistycznej) wywyższenie jednego z nich kryje zarodek wielkich zadrażnień wewnętrznych, które, jak łatwo przypuścić, rozstrzygane będą z reguły na korzyść obywateli uprzywilejowanych, wyjętych spod właściwości sądów czesko-morawskich!

Napozór łagodzi przykre wrażenie dwóch pierwszych artykułów dekretu jego art. 3, stwierdzający, że Protektorat „jest autonomiczny i rządzi się samodzielnie *(„verwaltet sich selbst")*". Wprawdzie zaraz po tym zastrzeżono, że „prawa zwierzchnic-

*) Ob. co pisze o protektoracie znakomity uczony niemiecki J. Jellinek („Ogólna nauka o państwie").

*) Podpisali go oprócz Kanclerza Hitlera ministrowie: Frick, Ribbentrop i Lammers.

**) Posiłkujemy się tekstem, opublikowanym w „Völkischer Beobachter z dn. 17 marca r. b. i przełożonym przez „Gazetę Polską".

twa" wykonywane będą „zgodnie z politycznymi, wojskowymi i gospodarczymi potrzebami Rzeszy", ale postanowienie to osłodzono dodatkiem, że wszystko dziać się będzie przez „własne organy oraz własne władze z własnymi urzędnikami". Innymi słowy funkcjonariusze urzędów czesko-morawskich własnymi rękoma urzeczywistniać będą zarządzenia władz Rzeszy, mające na celu przeprowadzenie tych czy innych „politycznych, wojskowych i gospodarczych" interesów niemieckich!

Wyraźnym zaprzeczeniem, jeśli tak można byłoby powiedzieć: suwerenności wewnętrznej, jest art. 4 dekretu, gdzie przewiduje się „Zwierzchnika autonomicznego zarządu Protektoratu Czech i Moraw" i zapewnia mu się nawet korzystanie „z ochrony i uprawnień honorowych głowy państwa(!)", ale zarazem zaznacza się, że ów „zwierzchnik" „musi dla wykonywania swego urzędu posiadać zaufanie kanclerza Rzeszy". Jest rzeczą jasną, że skoro Niemcy zdecydowały się pozostawić w ustroju podległego kraju dekoracyjną w danym wypadku godność „zwierzchnika", powinny były dać jednocześnie choćby to minimalne zapewnienie, że godność tę sprawować będzie mógł tylko „*Staatsangehörige*" Protektoratu Czech i Moraw, a więc Czech.

Że nie napróżno określiliśmy funkcję „zwierzchnika", jako jedynie „dekoracyjną", świadczy o tym art. 5 dekretu, stawiający na czele kraju „jako strażnika interesów Rzeszy" *(„Wahrer der Reichsinteressen")* mianowanego przez kanclerza „protektora Rzeszy" (z siedzibą urzędową w Pradze). W istocie nie kto inny, lecz właśnie „protektor" będzie i faktycznym i formalnym wielkorządcą. Dekret przyznaje mu rozległe, odpowiedzialne i *sui generis* zaszczytne obowiązki: „Protektor ma za zadanie, jako zastępca kanclerza i pełnomocnik rządu Rzeszy, dbać o przestrzeganie politycznych linii wytycznych kanclerza". On to zatwierdza „członków rządu Protektoratu" (przy czym „zatwierdzenie może być cofnięte"!); jemu „przysługuje prawo informowania się o wszystkich zarządzeniach rządu Protektoratu, jak również udzielania temu rządowi rad"; więcej „ma on prawo sprzeciwić się zarządzeniom, mogącym okazać się szkodliwymi dla Rzeszy, a gdyby zwłoka mogła pociągnąć za sobą niebezpieczeństwa, ma prawo wydać we wspólnym(!) interesie, konieczne zarządzenia". Widocznie do owego sprzeciwu autorzy aktu przywiązywali szczególne znaczenie, skoro czytamy dalej w dekrecie: „Ogłaszanie ustaw, zarządzeń oraz innych przepisów prawnych, jako też publikacja zarządzeń administracyjnych i prawomocnych wyroków sądowych ma być natychmiast przerwana z chwilą, gdy protektor Rzeszy wniesie sprzeciw". Na specjalną uwagę zasługuje rozciągnięcie sprzeciwu nawet na publikację wyroków sądowych! Wszystkie przepisy art. 5 potwierdzają, jak dalece decydujące znaczenie dla całego kraju i jego żywotnych spraw posiadać będzie stanowisko „protektora" i jak blednie przy nim rola „zwierzchnika", o którego jakichkolwiek istotnych uprawnieniach dekret milczy.

Art. 6 dekretu nie sprawia nam żadnej niespodzianki, gdyż reguluje prowadzenie „spraw zewnętrznych Protektoratu" w sposób, jedynie dla państwa zwierzchniczego możliwy: sprawy te, „w szczególności zaś ochronę jego obywateli za granicą", obejmuje Rzesza, przy czym kierownictwo sprawami ma odpowiadać „wspólnym interesom". Tenże artykuł przewiduje, że „przy rządzie Rzeszy" Protektorat mieć będzie „przedstawiciela" z urzędowym tytułem „poseł", lecz o jego zadaniach lub uprawnieniach nie wspomina się.

Następny art. 7 dekretu zaczyna się od wspaniałomyślnego stwierdzenia, że „Rzesza udziela protektoratowi ochrony wojskowej", dalej zaś podaje, że: „Ażeby wykonać tę ochronę Rzesza utrzymywać będzie w Protektoracie garnizony i urządzenia wojskowe". Każdy, nie znający się nawet na kwestiach militarnych, zrozumie wielką wagę tego przepisu, dzięki któremu Niemcy niebawem będą mogły ująć cały kraj w twarde ryzy swej „ochrony". W tymże artykule zezwolono Protektoratowi „wystawiać własne formacje", ale jedynie „celem utrzymania wewnętrznego bezpieczeństwa i porządku". Mało tego: „Organizację, siłę, liczebność i uzbrojenie określi rząd Rzeszy". Wynika z tego, że dekret nie przewiduje czesko-morawskich oddziałów wojskowych, lecz jedynie jakąś straż bezpieczeństwa i to mocno ograniczoną i ściśle uzależnioną od władz niemieckich.

Nie tylko jednak sprawy wojskowe wyłącza Rzesza spod zarządu autonomicznego. To samo odnosi się do „komunikacji, poczty, telefonu, telegrafu i radia", nad którymi wg art. 8 dekretu, „Rząd Rzeszy posiada bezpośredni nadzór". Podobnie art. 9 przesądza — co jest może jeszcze rzeczą zrozumiałą — że „Protektorat należy do obszaru celnego Rzeszy i podlega jej zwierzchnictwu celnemu". Natomiast art. 10, normujący sprawy walutowe, wprawdzie podaje, że „ustawowym środkiem obiegowym jest obok marki niemieckiej" „korona czeska", ale, żeby nie czynić zbytecznych nadziei, nadmienia: „aż do dalszego odwołania". Że ono wkrótce nastąpi, nie trzeba mieć co do tego żadnych złudzeń. W każdym bądź razie: „stosunek obu walut do siebie określony zostanie przez rząd Rzeszy".

Jak widać, nie wiele działów administracji pozostawiono urzędom Protektoratu, chyba tylko: sprawy oświatowe i zagadnienia z nimi graniczące. Cały bodaj zaś kompleks gospodarczy zabrała Rzesza. Ale i to, co raczono poruczyć zarządowi Protektoratu, może być w każdej chwili odjęte. Pomocny do tego celu okaże się tutaj art. 11 dekretu, przewidujący, że „Rzesza może wydawać przepisy prawne, obowiązujące Protektorat, o ile wymaga tego wspólny interes". Jeszcze przejrzystszy jest dalszy przepis: „O ile zajdzie wspólna potrzeba, Rzesza może przejąć we własny zarząd gałęzie administracji i ustanowić potrzebne do tego własne władze Rzeszy". Powtarzamy: „własne władze Rzeszy"! W tymże artykule dekretu, ciekawe, że właśnie w tym, nie w innym, czytamy nadto, iż: „Rząd Rzeszy może wydać zarządzenia, potrzebne do utrzymania bezpieczeństwa i porządku". Umieszczenie tu tego postanowienia wygląda bez mała, jak groźba pod adresem tych, którzyby chcieli kiedykolwiek bronić zawarowanego w art. 3 samodzielnego zarządu Protektoratu.

Wreszcie art. 12 dekretu nadmienia, że „Obowiązujące obecnie na terytorium Czech i Moraw ustawodawstwo pozostaje w mocy i o ile nie jest sprzeczne z duchem objęcia ochrony przez Rzeszę Niemiecką",[1]) a ostatni art. 13 upoważnia ministra spraw wewnętrznych do wydania w porozumieniu z innymi ministrami „przepisów prawnych i administracyjnych, potrzebnych do doprowadzenia[2]) i uzupełnienia" dekretu.

Czyż po tym wszystkim, cośmy napisali, cytując zarazem niemal w całości przepisy dekretu, można wierzyć w to, że Niemcy obdarzyły Czechy i Morawy swym „protektoratem". Jest bezsporne, że nadany tym ziemiom aktem z dn. 16 marca r. b., ustrój nie jest bynajmniej protektoratem, mimo użycia tej nazwy, kreowania godności „zwierzchnika" i okraszenia dekretu paru innymi złudnymi pozorami, mogącymi mieć znaczenie tylko czysto werbalne. Można co najwyżej stwierdzić, że krajowi czesko-morawskiemu przyobiecano autonomię i to bynajmniej nie w szerokim zakresie, czego dowodem jest okoliczność, iż m. in. nie przewidziano dla tego kraju żadnego rodzimego organu ustawodawczego, choćby wyłącznie o charakterze opiniodawczym czy doradczym.

W tym samym czasie, kiedy Czechy i Morawy otrzymywały ustrój rzekomego protektoratu, inna ziemia b. republiki czechosłowackiej stała się przedmiotem wymiany depesz, przesądzającej jej losy. Prezydent Słowacji ks. Tiso telegrafował mianowicie do Wodza Niemiec: „Mając głębokie zaufanie do Pana, jako Kanclerza Wielkiej Rzeszy Niemieckiej, Państwo Słowackie stawia się pod Pańską opiekę. Państwo Słowackie prosi o przyjęcie tej opieki". Na to Hitler odpowiedział: „Potwierdzam odbiór Pańskiego wczorajszego telegramu. Obejmuję opiekę nad Państwem Słowackim". W tydzień po tym ogłoszono tekst układu między Rzeszą a Słowacją, precyzujący warunki sprawowania owej „opieki". Nie mający bodaj w ciągu ostatnich dziesiątków lat nigdzie żadnego precedensu układ słowacko-niemiecki wzbudza nie tylko naturalne zainteresowanie z punktu widzenia ściśle politycznego, ale wywołuje również pytanie co do strony prawno-ustrojowej stosun-

---

*) Zdanie to razi swym stylem — może zły przekład.

**) Słowo to jest niezrozumiałe. Zapewne winno być: wprowadzenia w życie.

ku obu tych państw. Przypatrzmy się bliżej omawianemu układowi.[1])

Po wstępie, posiadającym znaczenie raczej tylko deklaracyjne, a stwierdzającym, że rządy niemiecki i słowacki, wobec oddania się Słowacji pod opiekę Rzeszy, porozumiały się co do uregulowania skutków, wynikających z tego faktu, następuje pięć artykułów, z których najważniejszy (1) brzmi: „Rzesza Niemiecka obejmuje ochronę politycznej niezależności państwa słowackiego oraz nienaruszalność jego obszarów". A więc Niemcy przyjmują tu na siebie rolę gwaranta granic Słowacji na zewnątrz. Nie zobowiązują się atoli równocześnie ani słowem do uszanowania suwerenności tego kraju ze swej własnej strony.

Natomiast w art. 2 układu przezornie zabezpieczają sobie szereg uprawnień, godzących niewątpliwie w prawa zwierzchnicze Słowacji: „Dla przeprowadzenia przejętej przez Rzeszę Niemiecką ochrony, niemieckie siły zbrojne mają w każdym czasie prawo tworzenia wojskowych urządzeń oraz utrzymywania w nich załóg w sile, uznanej przez Rzeszę za niezbędną, w strefie, której granica od strony zachodniej przebiega przez granicę państwa słowackiego, od wschodniej zaś przez linię, przechodzącą wschodnim krańcem Małych Karpat, wschodnim krańcem Białych Karpat i wschodnim krańcem Gór Jaworznickich". Co więcej: „Rząd Słowacki wyda zarządzenia, aby niemieckim siłom zbrojnym oddane zostały do dyspozycji potrzebne do tych urządzeń tereny" Nie dosyć jednak na tym: „Rząd słowacki zgodzi się na zarządzenia konieczne dla wolnego od cła zaopatrzenia wojsk niemieckich oraz wolnych od cła dostaw dla urządzeń wojskowych z Rzeszy Niemieckiej". Wreszcie wyraźnie już czytamy, powiedziane bez żadnych ogródek: „W wyżej wspomnianej strefie wykonywać będą niemieckie siły zbrojne prawa zwierzchnictwa wojskowego". Dalej zawarowano jeszcze jeden przywilej dla Niemców: „Osoby, posiadające obywatelstwo niemieckie, które na zasadzie prywatnej umowy zajęte są budowaniem urządzeń wojskowych w wyżej wspomnianej strefie, podlegają sądownictwu niemieckiemu".

Również sprawom wojskowym poświęcony jest art. 3. Pozwala on rządowi słowackiemu „organizować" „własne siły wojskowe", ale, oczywiście, „w ścisłym porozumieniu z niemieckimi siłami zbrojnymi". A więc w zakresie wojskowości Słowacja całkowicie uzależniła się od Trzeciej Rzeszy.

Nie inaczej załatwiono się ze sprawami zagranicznymi, skoro ustalono, że: „W myśl przyjętego stosunku ochrony rząd słowacki będzie stale prowadzić swą politykę zagraniczną w ścisłym porozumieniu z rządem niemieckim". Wyrażenie: „w ścisłym porozumieniu" jest tu bardzo wymowne.

Kończy sławetny ten układ art. 5, opiewający wejście jego w życie „natychmiast z chwilą podpisania" z tym, że „posiada— on — ważność na okres 25 lat". Ostatnie zdanie układu przewiduje: „Obydwa rządy porozumieją się przed upływem tego okresu czasu w sprawie przedłużenia".

Traktowanie w tych warunkach Słowacji jako państwa niepodległego jest oczywistym nieporozumieniem. Właśnie bowiem w tym wypadku mamy niewątpliwie do czynienia z objęciem przez Niemcy protektoratu nad Słowacją. Trzecia Rzesza z zimną krwią wprowadza w błąd opinię publiczną świata, nazywając autonomię protektoratem (Czechy i Morawy)—a istotny protektorat — niepodległością pod swoją opieką (Słowacja).

Jest jednak pewien punkt widzenia, pod którym, patrząc na te zdobycze Niemiec, skłonni jesteśmy zgodzić się na traktowanie Czech i Moraw jako protektoratu — nie rezygnując natomiast z równoczesnego przywiązania nazwy tej formy ustrojowej do stosunku prawnego Rzeszy do Słowacji. Mamy tu na myśli los, jaki historia przygotowuje każdemu protektoratowi. Jak twierdzi bowiem wybitny znawca prawa międzynarodowego prof. Zygmunt Cybichowski, „podległość jest stanem przejściowym; z biegiem czasu zmienia się w niezawisłość lub kończy aneksją". Dzieje aż nadto potwierdziły licznymi przykładami słuszność tego sądu.

Przyjdzie czas, kiedy historia wskaże, czy Czechy i Słowację zaliczyć trzeba będzie do szeregu krajów „podległych", których podległość stała się aneksją, czy też postawić je w rzędzie tych, które, — jak np. Bułgaria — zrywają więzy protektoratu, odzyskując czy uzyskując niezależność.

*) Podpisali go: z ramienia Niemiec — min. Ribbentrop, a z ramienia Słowacji — Prezydent ks. Tiso i ministrowie Tuka i Durczański.

NOTATNIK ZAGRANICZNY

Od słów do czynów

Paryż, 26 kwietnia roku 1939

(z. d.) Oświadczenia premierów Wielkiej Brytanii i Francji o gotowości tych państw walczenia w obronie niektórych państw europejskich odniosły narazie całkowity zamierzony skutek. Powstrzymały one nowe akcje zbrojne Niemiec i Włoch, które miały nastąpić niebawem po aneksji Czechosłowacji, Kłajpedy i Albanii. Teraz rządy angielski i francuski widzą się wobec konieczności utrwalenia pokojowego znaczenia swych oświadczeń.

Konieczność ta wynika z analizy wydarzeń na jesieni ubiegłego roku. Bierność, okazana w ostatnich chwilach kryzysu przez Anglię i Francję, wynikała z przyczyn dwojakiego rodzaju. Z jednej strony oba mocarstwa zachodnie nie były całkowicie przekonane o słuszności zbrojnego podtrzymania Czechosłowacji przeciwko Niemcom oraz o celowości tego z punktu widzenia własnych interesów, z drugiej zaś strony stan przygotowań wojennych, zarówno materialnych jak moralnych, mocarstw zachodnich był niedostateczny. Przyczyny te, współdziałając, zadecydowały o losach Czechosłowacji. Obecnie, treść ostatnich oświadczeń francuskich i angielskich wskazuje, że oba mocarstwa zachodnie doszły do definitywnego przekonania o celowości i konieczności pełnej solidarności z państwami zagrożonymi przez mocarstwa osi Berlin — Rzym. Skolei trzeba więc, żeby Anglia i Francja, po zajęciu tego stanowiska, były należycie przygotowane do wojny. W przeciwnym razie mogłoby nastąpić w ostatnim momencie to, co miało miejsce we wrześniu ubiegłego roku. Utrwalenie wrażenia, wywołanego w Berlinie i Rzymie przez oświadczenia Chamberlaina i Daladiera, wymaga więc od Anglii i Francji nowych wysiłków zbrojeniowych.

Zwiększenie przygotowań wojennych tych państw jest taksamo konieczne dla usunięcia wątpliwości, jakie istnieją jeszcze w Berlinie i Rzymie, co do szczerości i zdecydowania oświadczeń premierów brytyjskiego i francuskiego. Z ust mężów stanu Anglii i Francji słyszeliśmy już wiele oświadczeń, za którymi nie przyszły w odpowiedniej chwili realne działania. Dla pogłębienia i utrwalenia wiary w wartość ostatnich, uroczystych oświadczeń angielskich i francuskich niezbędne są realne i na wielką skalę zakrojone przygotowania wojenne: będą to czyny odpowiadające warunkom pokoju. Potrzeba również, żeby czyny te miały potężną siłę sugestywną dla państw, dla których przeznaczone były oświadczenia.

*

W sytuacji tej Francja znalazła się w całym tego słowa znaczeniu na wysokości

zadania. Można to powiedzieć zarówno o rządzie, jak i o wszystkich warstwach społeczeństwa. Zresztą dlatego właśnie Francja dała nam świadectwo całkowitego zdecydowania i realizmu w postępowaniu, że ostatnie wydarzenia międzynarodowe wytworzyły we Francji, praktycznie biorąc, całkowitą jednomyślność. Decyzje rządu powzięte zostały pod wrażeniem nastrojów, panujących w społeczeństwie, a równocześnie nastroje te podtrzymywane są przez fakt aprobowania przez rząd stanowiska opinii publicznej.

To, co wnosi do sytuacji międzynarodowej społeczeństwo francuskie, da się określić w trzech słowach: spokój, gotowość, poświęcenie. Spokój ten nie ma w sobie nic z bierności, jest w całym znaczeniu tego słowa twórczym, silnym spokojem. Społeczeństwo francuskie przeżyło nadzwyczaj głęboko wydarzenia ostatnich tygodni. Można powiedzieć bez przesady, że jego postawa psychiczna została wstrząśnięta do podstaw. Jednak następstwem tego wstrząsu nie było wahanie; ciężkie przeżycie, rozwianie złudzeń, którymi karmiono się w ciągu dwudziestu lat, odrazu ustąpiły miejsca zdecydowaniu. Francja zadecydowała w mgnieniu oka co ma czynić: „Nikt teraz nie myśli, że nieobecność Francji w Europie może zapewnić naszą niepodległość i całość naszego Imperium. Widmo cofnięcia się do zadań wyłącznie imperialnych znikło, teraz nic nie pozostaje innego, jak realna konieczność przywrócenia równowagi europejskiej" — powiedział minister skarbu w swym ostatnim przemówieniu, a wysłowił przekonanie całego narodu francuskiego. Francja — rząd i społeczeństwo — powzięły taką decyzję i gotowe są ją wprowadzić w czyn. Obok pokoju czują całkowitą gotowość działania.

Najbardziej jaskrawym dowodem głębokiej przemiany nastrojów społeczeństwa francuskiego jest pogodna rezygnacja, z jaką przyjęte zostały ostatnie decyzje gospodarcze i społeczne rządu. Dał również nieomylne świadectwo zaszłych ostatnio przemian szczery entuzjazm, z jakim olbrzymia większość społeczeństwa przyjęła dyktatorskie atrybucje w zakresie postanowień w sprawach dotyczących obrony narodowej, przyznane przez Parlament rządowi Deladiera. Jedno i drugie świadczy o gotowości do poświęceń, narazie materialnych, niezbędnych dla wprowadzenia w czyn nowej polityki zagranicznej, raczej odrodzenia tradycyjnej polityki obecności z bronią w ręku we wszystkich dziedzinach Europy. Ostatnie dekrety gospodarcze i społeczne nakładają na społeczeństwo francuskie nowe obowiązki, jak nowe świadczenia finansowe i przedłużenie godzin pracy, w niektórych wypadkach bez specjalnego wynagrodzenia, redukcje urzędnicze itd. Obowiązki te, brane w oderwaniu od normalnych stosunków francuskich, szczególnie od panujących ostatnio warunków pracy, mogą wydać się dość lekkie. Jednak ich rzeczywisty ciężar psychologiczny, faktycznie odczuwany przez społeczeństwo francuskie, jest bardzo poważny. Nie można również przewidzieć, czy z czasem, może nawet niedługo, nie zostaną nałożone nowe ciężary. Otóż wszystko to społeczeństwo francuskie przyjmuje ze spokojną rezygnacją, jako coś zupełnie naturalnego. Jeśli na jesieni ubiegłego roku pierwsze posunięcia nowego ministra skarbu spotkały się z gwałtowną opozycją, to ostatnie dekrety zyskały pełną aprobatę. Odgrywa w tym dużą rolę wzrost zaufania do rządu, szczególnie do ministra skarbu. Lecz największą rolę odgrywa bezsprzecznie gotowość do poświęceń dla kraju. Co ważniejsze — poświęceń dla jego pośredniej, a nie bezpośredniej obrony. Dowód odrodzenia instynktu wielkomocarstwowego.

Francja przyjmuje więc w pełni postawę, odpowiadającą jej najlepszym tradycjom historycznym.. W poczuciu niezwykłej wagi chwili, w poczuciu roli, przypadającej jej w Europie, Francja skupiła się i zdecydowała, stara się jak najmniej mówić, jak najwięcej czynić.

*

Anglia w zakresie realnych przygotowań do odegrania aktywnej roli w rozwoju polityki europejskiej nie pozostaje w tyle za Francją. Decyzja wprowadzenia powszechnego obowiązku służby wojskowej nie przyszła jej łatwo, lecz nie znaczy to wcale, żeby Anglia wolała mówić niż działać. Powszechny obowiązek służby wojskowej podczas pokoju jest w życiu Anglii taką samą rewolucją jak sojusz z Polską. Otóż obalanie odwiecznych tradycyj życiowych nie przychodzi Anglikom łatwo, szczególnie, gdy w ciągu jednego miesiąca mają być obalone dwie najbardziej podstawowe tradycje. Wahanie rządu angielskiego w sprawie wprowadzenia powszechnego obowiązku służby wojskowej tłomaczyło się jedynie troską o możliwe reakcje. Chodziło o uniknięcie w miarę możności odruchów opozycji, a pozytywnie — o to, żeby społeczeństwo angiel-

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Po śmierci dobrego Pasterza

Lud polski w Niemczech, w szczególnie ciężkich warunkach walczący o swoje prawa, stanął wobec ciężkiego ciosu. Z szeregów tamtejszej Polski odszedł pierwszy jej obywatel, ks. patron dr. Bolesław Domański, prezes Związku Polaków w Niemczech.

Odchodzącego na wieczny spoczynek Pasterza żegnali Polacy w Niemczech w sposób, jaki możliwy był w danych warunkach. Po nabożeństwie żałobnym w Berlinie zebrano się w skromnej przygranicznej parafii, Zakrzewie, gdzie imieniem Związku Polaków długoletniego Prezesa pożegnał Kierownik Związku, dr. Jan Kaczmarek, w obliczu zgromadzonych przestawicieli władz i dzielnic Związku Polaków oraz przybyłych z kraju gości, wśród których szczególnie liczny był udział polskiego duchowieństwa z Pomorza.

Na specjalnym posiedzeniu Rady Naczelnej Związku Polaków w Niemczech, zwołanym dla uczczenia pamięci Zmarłego, postanowiono zwrócić się do społeczeństwa polskiego w Rzeszy z wezwaniem do uczczenia pamięci Zmarłego przez przywdzianie na okres dwóch tygodni powszechnej żałoby oraz organizowanie zebrań, poświęconych pamięci oderwanego przez śmierć od pracy i walki Prezesa.

Równocześnie w odezwie do społeczeństwa polskiego Rada Naczelna w następujący sposób scharakteryzowała stratę poniesioną przez społeczeństwo polskie w Niemczech:

„Dokonało się życie ziemskie najgodniejszego Polaka w Niemczech, przewodnika i opiekuna, wypełnione wiarą, naznaczone wolą, utrwalone czynem, promieniejące miłością.

Trud niemały swego chwalebnego żywota poświęcił nam ś. p. Kochany Przywódca. Spadkobiercami dziedzictwa codziennej Jego pracy dla chwały i wielkości Narodu Polskiego jesteśmy my, Polacy w Niemczech. Cios śmierci nie skruszył w nas wiary zahartowanej w twardej walce, cios śmierci nie powalił nas w rozpaczy i nie strącił w zwątpienie. Z wielkiego przykładu mocowania się przez życie całe o słuszność my siłę do przyszłej walki czerpiemy. Nie zmoże nas żadna niecna moc. Wiara ś. p. Zmarłego w Naród Polski, wyrażona ostatnimi Jego słowami: lud polski się nie da — nam jest testamentem i w nas zwycięstwo zbierze, ślubujemy."

W momencie wielkiej żałoby Związku Polaków i całej ludności polskiej w Niemczech łączy się z braćmi spod znaku Rodła całość Narodu Polskiego, którego godności, praw i interesów znakomitym i zasłużonym przedstawicielem i obrońcą na terenie Rzeszy Niemieckiej był zmarły ks. Patron Domański. Fakt, iż wśród ludności tej panuje duch wytrwania, który sprawia, iż ostatnia myśl na łożu śmierci wciąż jeszcze oddana jest służbie polskiej idei narodowej, jest dla Narodu niewymownej wagi świadectwem głębokiej prawdy, zawartej w słowach najczęściej zjawiających się na ustach każdego Polaka w Niemczech:

„Jesteśmy Polakami,
Siłę słuszności mamy
I mocą tej słuszności
Wytrwamy i wygramy!"

skie przyjęło tę historyczną decyzję z zadowoleniem. Przychylne przyjęcie obowiązku służby wojskowej podczas pokoju będzie miało nadzwyczaj dodatni efekt dla rozwoju sytuacji międzynarodowej. Rządowi angielskiemu nie chodziło więc o sam fakt nowej ustawy, lecz również o wrażenie międzynarodowe tego faktu. Stąd właśnie długie wahanie i kompromisowość ostatecznej decyzji.

W ocenie zagadnienia powszechnego obowiązku służby wojskowej w Anglii podczas pokoju należy się pod każdym względem wystrzegać zbyt pohopnych sądów. Anglicy nie lubią rzemiosła żołnierskiego, lecz każdy dobry Anglik pragnie być żołnierzem, gdy nadchodzi chwila, w której trzeba bronić z bronią w ręku Ojczyzny. Nawet po wybuchu wielkiej wojny rząd angielski czekał półtora roku — do marca 1916 — z wprowadzeniem powszechnego obowiązku służby wojskowej. Lecz gdy ten obowiązek został wprowadzony, okazało się, iż na 8 milionów Anglików zdolnych do służby wojskowej zaciągnęło się poprzednio dobrowolnie 7 milionów. Obowiązek służby wojskowej zaprowadził do koszar tylko milion maruderów, którzy potem na polu walki bili się nie gorzej od innych żołnierzy. Zagadnienie obowiązku służby wojskowej podczas pokoju jest w Anglii zagadnieniem w istocie swej psychologicznym, opartym o przyzwyczajenie, wynikające ze specyficznej sytuacji strategicznej wysp Brytyjskich. Zdaniem Anglików służba wojskowa podczas pokoju jest niewygodna, a nie zostało dowiedzione, żeby była potrzebna. I dziś jeszcze szereg bardzo wybitnych angielskich pisarzy wojskowych hołduje przekonaniu, że Anglia w razie wojny nie będzie potrzebowała i nawet nie będzie mogła posłać na kontynent milionowej armii lądowej. Zdaniem ich rola Anglii powinna polegać na wykorzystaniu jej potencjału produkcji i osbługi maszyn wojennych. Anglia nie powinna rozpraszać sił, nie powinna dostarczać sojusznikom piechoty i artylerii, tylko materiału wojennego i formacyj mechanicznych, jak lotnictwo i wojska pancerne, nie mówiąc już o flocie. Anglik ma być jako żołnierz znacznie bardziej produktywny w formacji mechanicznej niż w zwykłych formacjach, wobec czego zgodnie z zasadą podziału pracy, Anglia powinna dostarczać tylko materiału wojennego i formacyj mechanicznych. Ponieważ zaś dla wyprodukowania maszyn wojennych w ilościach wymaganych podczas wojny przez nowoczesne armie potrzeba milionów rąk roboczych, Anglia nawet nie będzie mogła mobilizować mężczyzn do służby w zwykłych formacjach lądowych, — wnioskują angielscy przeciwnicy powszechnego obowiązku służby wojskowej.

Wahanie rządu angielskiego w tej dziedzinie nie mogło być więc poczytywane za brak istotnej chęci przygotowania się do nowych zadań militarnych, nałożonych na Anglię przez jej sojusze. Niemniej jednak decyzja w tej sprawie odegra wielką rolę psychologiczną, gdyż uniemożliwi w pewnych krajach podtrzymywanie tezy, że ostatnie oświadczenia rządu brytyjskiego oraz sojusz z Polską są nieszczere. Anglia zwykle bardzo długo waha się, gdy ma powziąć jakieś nowe, doniosłe postanowienie, lecz gdy je poweźmie, wówczas działa na serio.

*

Obserwując to wszystko, co dzieje się obecnie w Anglii i we Francji, nabiera się pełnego przekonania, że państwa te przeszły definitywnie od słów do czynów. Widać również, że postawa duchowa społeczeństwa angielskiego i francuskiego uległa całkowitej zmianie; Anglicy i Francuzi to dziś inni ludzie, niż we wrześniu lub grudniu poprzedniego roku. Znikła już niewiara i niezdecydowanie, nikt nie czuje chęci abdykowania z jakiejkolwiek roli, przynależnej Anglii i Francji z tytułu ich wielkości i zasobów. Nade wszystko zaś — szczególnie we Francji — ustąpiło defetystyczne przekonanie, wytworzone w ciągu kilku ostatnich lat, że mocarstwa totalne dystansują obie wielkie demokracje zachodnie w prędkości decyzji i w gotowości działania, jednym słowem, że na płaszczyźnie międzynarodowej przewaga znajduje się na wschód od Renu i Alp. Ostatnie wydarzenia wykazały, że gdy Anglia i Francja chcą działać, działają mądrzej i radykalniej od Niemiec i Włoch, a nawet, że działają niemniej efektownie niż dyktatorzy, choć działają pokojowo. Coraz częściej czyta się i słyszy w zachodnich stolicach, że Niemcy wygrywają wprawdzie często pierwszą bitwę, lecz ostatnią, decydującą bitwę zawsze wygrywa Anglia, Anglia — sojuszniczka Francji i Polski.

NOTATNIK GOSPODARCZY

Czy »drenować« rynek pieniężny?

Ani dolna, ani górna granica subskrypcji Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej nie została określona. Jedynie poprzez ogłoszone minimalne normy subskrypcyjne, na ogół niższe niż np. przy Pożyczce Narodowej, można zorientować się w zamierzeniach czynników miarodajnych w tym względzie. Porównując równocześnie ogólną sytuację gospodarczą i położenie na rynku pieniężnym w dniu dzisiejszym i w okresie rozpisywania Pożyczki Narodowej, kiedy Polska znajdowała się w głębokiej depresji gospodarczej, wnioskować można na tej podstawie, że nie pragną one jakiegoś nadmiernego wypompowania rynku pieniężno-kapitałowego, że starają się respektować w jak najszerszej mierze potrzeby gospodarstwa prywatnego.

Zdaje się jednak, że pewne koła gospodarcze zbyt przejęły się tymi założeniami Ministra Skarbu i zbyt rygorystycznie je wykonują... Na jednej z konferencji prasowych generał Berbecki oznajmił zaproszonym dziennikarzom, że z zgłoszonej wówczas sumy 200 mil. zł. 60 proc., t. j. 120 mil. subskrybował t. zw. świat pracy, a resztę pozostałe grupy społeczne. Odrzucając z tych 80 mil. zł. dość znaczne kwoty zadeklarowane przez banki i przedsiębiorstwa państwowe, na prywatny przemysł, handel i aparat bankowy przypadnie suma stosunkowo niewielka.

Nie będziemy tutaj formułować zarzutów natury moralnej, ani wzywać opieszałych subskrybentów do kas. Wydaje się nam bowiem, że trafić do ich przekonania można by było jedynie drogą indywidualnego nacisku opinii publicznej, drogą ogłaszania „czarnych list" itp. Zresztą notatnik gospodarczy ma inne zadania, wróćmy więc do gospodarczych aspektów tego zagadnienia!

Czy to „zachowanie przez poszczególne przedsiębiorstwa większej „płynności" wpłynie korzystnie na sytuację gospodarczą kraju, jak niektórzy zwolennicy „niedrenowania" rynku głoszą? Wyeliminujmy z tych rozważań te zakłady i tych przedsiębiorców, którzy inwestują w chwili obecnej w C. O. P. lub też rozbudowują w innych miejscowościach fabryki według potrzeb wojskowo - gospodarczych. Ci oczywiście są w innym położeniu. Ale pozostali? Nie należy się łudzić, by kapitały, które znajdują się w ich dyspozycji zostały skierowane na cele inwestycyjne, na powiększenie aparatu produkcyjnego, czy jego ulepszenie. Czasy są zbyt niespokojne, by to się opłacało i kalkulowało! — Z tej mentalności kapitalistycznej musimy zdawać sobie sprawę. — A jeśli gdzieś coś ulokują, to tam, gdzie sens gospodarczy będzie najmniejszy, za to z egoistycznego punktu widzenia bezpieczeństwo największe. Choćby ta lokata miała być bezprocentową „pończochą".

Z drugiej strony widoczne są w związku z pomyślną na ogół sytuacją objawy pewnej beztroski finansowej górnych tysięcy — podnoszenie stopy życiowej, zwiększanie zakupów konsumcyjnych w kategoriach towarów luksusowych itp. Wśród pracowników najemnych znaczna progresja norm subskrypcyjnych w miarę wzrostu zarobków i powszechność subskrypcji podobne postępowanie uniemożliwiły. Zwiększenie nacisku w stosunku do pozostałych odniosłoby ten sam pomyślny skutek.

Kończąc te uwagi, wydaje się, choć brzmieć to może dość paradoksalnie, że właśnie ze względów gospodarszych pewien drenaż rynku pieniężnego mógłby dziś dać dobre rezultaty.

Problemy pogotowia

(aa). Żyjemy w okresie „pogotowia". Tym słowem określa się stan ustawicznego napięcia psychicznego i materialnego, w jakim trwamy nie tylko my, ale większość cywilizowanego świata. Jest to stan bezwątpienia męczący, wymagający ustawicznych wysiłków, by sprostać nasuwającym się trudnościom, a równocześnie nie dać się wyprowadzić z równowagi. Operujemy tutaj pojęciami raczej z dziedziny „ducha", ale oddają one z równą dokładnością problemy gospodarcze „pogotowia".

U nas w Polsce zagadnienia te są bardziej może skomplikowane niż gdzie indziej. Od trzech lat ma miejsce coraz bardziej intensywne montowanie takiej struktury gospodarczej, która by zwiększając nasz potencjał produkcyjny, równocześnie uniezależniała nas coraz więcej od zagranicy. Doceniając wykonane w tym kierunku prace, zdajemy sobie jednak sprawę, że nasz wysiłek rozbudowy C. O. P. nie może ustać ani na chwilę, że właśnie w chwili obecnej musimy zwiększyć tempo inwestycji w Okręgu Centralnym i w tych zakładach, które poza jego terenem pracują bezpośrednio lub pośrednio dla obrony narodowej.

Co w tej chwili robić należy, aby ten oczywisty i nie budzący żadnych wątpliwości cel został osiągnięty, a czego czynić nie wolno, aby nie wpłynąć ujemnie na rozwój potencjału gospodarczego? Z wielu spraw wybierzmy i omówmy w tej krótkiej notatce jedną, bardzo jednak zasadniczą. Redaktor „Polityki Gospodarczej" p. St. Lauterbach w ostatnim numerze swego pisma ogłasza artykuł wstępny p. t. „Okres pogotowia i jego konieczności", w którym jako naczelną tezę wysuwa zaniechanie w chwili obecnej wszelkich „przebudow" zarówno politycznych jak i gospodarczych. Posunięcia takie „choćby były najbardziej nawet na przyszłość uzasadnione, stwarzają z reguły pewien mniejszy lub większy wstrząs i chaos, zakłócają naturalną dynamikę życia, osłabiają aktualną wydajność pracy państwa i społeczeństwa na starej podstawie prowadzonej". Dlatego też wszelkie zapędy planistyczne, dość silnie u nas rozprzestrzenione, winny być powstrzymane, gdyż przebudowa gospodarcza spowodowałaby szereg poważnych zakłóceń w życiu gospodarczym.

Jest w tym rozumowaniu — mówimy o jego części gospodarczej — opartym o słuszną przesłankę, że tak jak pokój i wojna mają swoje prawa, tak i okres pogotowia je mieć musi, pewien zasadniczy błąd. Nie tylko „doktrynerstwo" planistów, ale przykłady z lat 1914—18 dobitnie wskazują kierunek, w którym musi pójść gospodarka państw, biorących udział w wojnie. Niestety, wbrew sympatiom „Polityki Gospodarczej" kierunek ten to wprowadzenie daleko posuniętego planowania, to często b. uciążliwy interwencjonizm w prywatnym życiu gospodarczym, to poddanie państwu całego szeregu gałęzi tego życia.

Istotnie każda reorganizacja przynosi początkowo pewne zaburzenia— dlatego nie należy czynić zbytecznych reform, ale z drugiej strony kultywowanie status quo i odkładanie koniecznych zmian na czas wojny, która przecież może każdej chwili przyjść, dałoby w rezultacie spotęgowanie tych zaburzeń w okresie jeszcze bardziej niebezpiecznym. Dlatego warunkiem dobrego przetrwania pogotowia obok utrzymania rozwoju potencjału gospodarczego, jest przede wszystkim wypracowanie form gospodarki wojennej i takie ich przygotowanie, by sprawnie mogły zacząć działać z pierwszym dniem zawieruchy.

Podstawy gospodarcze najmłodszego państwa w Europie

(S. W.) Nowopowstałe państwo słowackie jest krajem rolniczym. 60 proc. spośród 2,6 mil. mieszkańców żyje z rolnictwa, podczas gdy tylko 25 proc. znajduje zatrudnienie w przemyśle, rzemiośle i przy wyrębie lasów. Odsetek żyjących z rolnictwa byłby nawet większy, gdyby nie fakt, że granica węgiersko - słowacka, wytyczona w październiku ub. r., pozbawiła Słowację ziem zajętych prawie wyłącznie pod uprawę zbóż (dodatkowy powód do niezadowolenia Węgier!). Przy obecnej niskiej kulturze rolnej Słowacja jest pod względem produkcji rolnej samowystarczalna, przy czym nadwyżka produkcyjna jęczmienia kompensuje z powodzeniem niewielki import kukurydzy. Oczywiście po inkorporacji do organizmu gospodarczego „zagłodzonej" Rzeszy, Słowacja — należy przypuszczać — w krótkim czasie zwiększy swą produkcję rolną, aby pokrzepić „opiekuna". Duże możliwości powiększenia wydajności z ha istnieją zwłaszcza w części południowej, dobrze nawodnionej i nasłonecznionej. Gorzej jest w górzystej Słowacji północnej. Z rolnictwem wiąże się przemysł cukrowniczy, zaspokajający w pełni zapotrzebowanie kraju i wykorzystujący do tej pory zaledwie w 40 proc. swą zdolność produkcyjną. Należy jednak zwrócić uwagę, że w zakresie produkcji cukru niemiecki protektor jest także samowystarczalny i rezerwa produkcyjna cukrowni słowackich wykorzystana będzie w pełni prawdopodobnie dopiero w razie konieczności ograniczenia bądź przestawienia własnej wytwórczości Rzeszy. Inna natomiast rezerwa na pewno będzie odrazu wchłonięta przez Niemcy — jest to 89.000 bezrobotnych plus nieuchwycona statystycznie pewna liczba „zbędnych" w rolnictwie.

Od r. 1882 usiłowały Węgry rozwinąć przemysł na ziemiach słowackich. Stworzenie jednak w r. 1918 państwa Czechosłowackiego, w którym konkurencja wysokouprzemysłowionych Czech i Moraw uniemożliwiała produkcję, zaciążyło decydująco na młodym przemyśle słowackim. Dopiero w ostatnich kilku latach, z uwagi na konieczność dekoncentracji ośrodków przemysłowych na wypadek wojny, rząd praski zaczął popierać rozwój przemysłu na Słowacji. Obecnie przemysł słowacki, chociaż ilościowo nie prezentuje się zbyt pokaźnie, jest dosyć zróżniczkowany. Istnieją tu dwie fabryki żelaza, zakłady zbrojeniowe w Bystrzycy i fabryka amunicji w Dubnicy, kilka emalierni, fabryka stali wysokogatunkowej (chwilowo nieczynna), fabryka dynamitu i wyrobów gumowych. Przemysł włókienniczy reprezentują 2 tkalnie bawełny i wełny w Trenczynie i Rużomberku, 3 przędzalnie i fabryka nici. Podstawą jednak gospodarstwa słowackiego jest bogactwo leśne. W obecnych granicach Słowacji szacują powierzchnię lasów na 800 — 900 tys. ha. 3 istniejące fabryki celulozy 75 proc. swej produkcji eksportowały, przeważnie do U. S. A. Poza tym w oparciu o surowiec drzewny pracowały dwie papiernie w Rużomberku i Slavorovcach, ta ostatnia jednak została odcięta przez granicę węgierską od połączenia kolejowego i wobec trudności komunikacyjnych będzie musiała się zlikwidować. Po r. 1918 elektryfikacja kraju poczyniła wielkie postępy i podniosła się z 5—6 proc. na 60—65 proc.

Chociaż do tej pory nie prowadzono zakrojonych na szerszą skalę badań geologicznych, wydaje się, że bogactwa mineralne są znaczne. W połudn.-zachodniej części kraju występują złoża ropy naftowej, na razie z powodu braku kapitałów na inwestycje nie eksploatowane w większym stopniu. Wydobytą ropę przerabiają 3 rafinerie. Poza tym występują złoża srebra, złota, miedzi i — zdaje się największe w Europie — pokłady antymonu. Wreszcie koło Rożnawy występują dość bogate rudy żelazne z domieszką miedzi i manganu; intensywniejsza ich eksploatacja wymaga większych inwestycji. W dolinie rzeki Wagu występują złoża boksytów, które mogą być wykorzystane dla produkcji tak potrzebnego III Rzeszy aluminium. 2 fabryki portland-cementu od paź-

dziernika ub. r. eksportują poważne ilości do „monarchii wschodniej".

Jak to sugeruje Deutsche Allgemeine Zeitung w art. z 24 ub. m., ambicją ekonomistów słowackich jest jak najściślejsze związanie gospodarcze z „Wielkoniemiecką Rzeszą" (Grossdeutsches Reich) w formie unii celnej i walutowej. Wprawdzie sprawozdawca niemiecki stwierdza z krokodylą łezką w oku, że na przeszkodzie tej szybkiej unifikacji stoi nadzwyczajna „taniość" Słowacji, ale wydaje się, iż ten moment najmniej będzie nastręczał skrupułów „drogiej" Rzeszy. Z drugiej strony jest pewne, że niemiecki „opiekun" nie wykaże większej troskliwości o uprzemysłowienie Słowacji, niż rząd praski w pierwszym dziesiątku lat po wojnie. Innymi słowy — przemysł przetwórczy na pewno będzie „leżał", natomiast zostanie rozwinięty przemysł surowcowy i podniesiona wydajność z ha gruntów ornych, a tym samym „zacieśnienie węzłów gospodarczych" sprowadzi się do stosunków takich, jak między kolonią a metropolią... Jeszcze jedno — „Deutsche Allg Z." wyraża nadzieję, że budżet Słowacji będzie zrównoważony, rzekomo bowiem w kraju uważa się, że „wobec przedsięwzięcia środków ochronnych ze strony Rzeszy Niemiecknej", utrzymywanie wojska jest zbyteczne. Oczywiście na wszelki wypadek lepiej „wychowanka" przekonać, że zabawa w gwardię Hlinkowską jest zupełnie nie na miejscu...

PRZEGLĄD PRASY

Niemcy i Polska

Red. Kaz. Smogorzewski poświęcił na łamach „Gazety Polskiej" (Nr. 114) dłuższy artykuł analizie aktualnego stanu stosunków polsko-niemieckich. W odpowiedzi na zarzuty, kierowane pod adresem Polski w związku ze zbliżeniem polsko-angielskiem, mającym podważać dobrosąsiedzkie stosunki polsko-niemieckie, red. Smogorzewski odpowiada wywodami, jakimi się posługiwał w swoich rozmowach z interlokutorami berlińskimi:

Kto niemieckiej „wspaniałomyślności" przeciwstawia polską — „niewdzięczność" ten przypisuje mężom stanu misję bezinteresownych dobroczyńców ludzkości. Żadnemu wogóle mężowi stanu, a niemieckiemu w szczególności, nie byłoby w tej roli do twarzy. Układ polsko-niemiecki z r. 1934 nie jest aktem jednostronnej szlachetności. Jest to akt obustronnej mądrości politycznej i opiera się na zasadzie do ut des.

Za zaprzestanie niemieckiej akcji rewizjonistycznej skierowanej przeciw całości Rzeczypospolitej zapłaciliśmy cenę sowitą: uznaliśmy zasadę równości praw w dziedzinie zbrojeń, nie utrudnialiśmy kanclerzowi urzeczywistnienia jedności narodu niemieckiego oraz zgodziliśmy się na zorganizowanie ludności niemieckiej Gdańska pod sztandarami narodowego socjalizmu.

Zaolzie mogliśmy odzyskać także bez synchronizowania naszej akcji z niemiecką. Mogliśmy je nawet odzyskać przeciw Niemcom, to zn. ze ceną wzięcia udziału w polityce, którą się w Berlinie nazywa „osaczeniem". Nie uczyniliśmy tego. Odwdzięczyliśmy się nam niespodzianką karpato-ruską oraz wysuneliście poraz pierwszy sprawę Gdańska w formie daleko odbiegającej od wszelkiego rozsądnego rozwiązania. Dokonaliście więc posunięcia, które było próbą niemieckiego oddziaływania na kształtowanie się stosunków na południo-wschodzie Rzeczypospolitej, formułując jednocześnie postulat ograniczający nasze interesy i prawa w Gdańsku, oddający w ręce obcego państwa kontrolę nad uprawnieniami bezpieczeństwa Polski w ujściu Wisły.

Mało tego. W połowie marca zaskakujecie Polskę szeregem decyzji polityczno-wojskowych o bardzo doniosłym znaczeniu: włączacie do Rzeszy Czechy i Morawy, bierzecie „pod opiekę" Słowację, reanektujecie Kłajpedę. Towarzyszące tym decyzjom spacery dywizji niemieckich dokoła naszych granic zmusiły nas do powzięcia pewnych środków ochronnych. Nie tylko Polska zresztą wydała w tym okresie takie zarządzenia. Wiele państw europejskich uznało, że w tych czasach nie spokojnych należy wzmocnić czujność na granicach.

W atmosferze zrozumiałego podniecenia Berlin ponawia w przynaglającej formie swe żądania w przedmiocie Gdańska. Właśnie w przeddzień postanowiono p. Urbszysowi ultimatum w sprawie Kłajpedy; właśnie trzy dni temu ks. Tiso podpisał układ o 25-letniej „opiece" Rzeszy nad Słowacją... Zarówno chwila, w jakiej nam niemiecką rewindykację przedłożono, a tym bardziej jej zawartość sprawiały, że była ona nie do przyjęcia. Poza tym okoliczność zaofiarowania nam gwarancji granic nazajutrz po przekreśleniu własnych przyrzeczeń sprzed 6 miesięcy — nazajutrz po zdeptaniu niepodległości narodu czeskiego — nasuwała raczej negatywne refleksje co do wartości oferty. W tej sytuacji zgoda Niemiec na obsadzenie Rusi Podkarpackiej przez wojska węgierskie nie mogła mieć wielkiego wpływu na zmianę nastrojów w Polsce. Było zresztą rzeczą jasną, że — choćby tylko ze względów komunikacyjnych — Niemcy nie mogły postąpić inaczej jak wyrzucić ks. Wołoszyna i jego „siczowników" za burtę...

Decydując się na politykę wojskowej presji i okrążania Polski, Niemcy zadały poważny cios zarówno duchowi jak i literze układu z r. 1934. Naruszając równowagę, jaką ten układ w naszych stosunkach ustanawiał, rząd berliński zmusił nas do jej odbudowania przez dodatkowe zabezpieczenie, jakim jest gwarancja brytyjska. Będąc wielkim mocarstwem, a nie państewkiem a la suite od kogokolwiek, nie mogliśmy przyjąć gwarancji jednostronnej. Dlatego też na zobowiązanie wielkiej Brytanii wobec Polski odpowiedzieliśmy analogicznym zobowiązaniem Polski wobec Wielkiej Brytanii.

Potęga siły moralnej

Polska Zbrojna (nr 115) podkreśla w związku z szeregiem wielkich faktów z historii świata oraz na marginesie stosowania nowych metod w rozgrywkach między państwami — że zarówno w walce bezkrwawej, jak i we walce, gdzie grają armaty, decyduje potęga siły moralnej. Siła ta jest potrzebna przede wszystkim w chwili obecnej, kiedy to wojny prowadzi się nie drogą zniszczenia materialnego, lecz przez złamanie moralne przeciwnika. Na czym polega ta metoda?

„Łamanie moralne przeprowadza się różnymi sposobami. I tak: dąży się do zastraszenia przeciwnika, do przerażenia go. Stawia mu się żądania na początek choć by tylko takie, jak przeprowadzenie autostrady przez jego kraj. Następnie führerzy, dyplomaci, prasa i cały aparat propagandowy rozpoczynają wielką kampanię gróźb. Straszą, przedstawiają własną potęgę, jako olbrzymią i niepokonaną — choćby tej potęgi wcale nie posiadali — roztaczają obrazy klęsk i nieszczęść, jakie spaść mogą na opornego, gdyby się przeciwstawił woli napastnika.

Dążą do skruszenia jego woli i jego oporu, do zmęczenia go i wyczerpania nerwowego. Działając na jego własnym terenie przez puszczanie różnych fałszywych wiadomości, przez wywoływania alarmów, niepokoi, przez podszczuwanie jednych przeciw drugim, zmierzają do poderwania wiary we własne siły i w możność zwycięstwa, zmierzają do zniszczenia zaufania do swoich przewódców i własnego rządu.

A kiedy już zmęczą i zmordują przeciwnika moralnie, kiedy się zachwieje jego wytrzymałość, kiedy się wywoła u niego zwątpienie, kiedy się go wyczerpie również i materialnie — bo ta walka wyczerpuje także finansowo i gospodarcza — wówczas następuje to, co nastąpiło w Austrii i w Czechosłowacji. Przychodzi klęska, jeśli zabrakło wytrzymałości nerwowej i charakteru, bo to właśnie decyduje i na tym polega wojna.

Taka właśnie wojna toczy się obecnie w całej Europie, a również i u nas w Polsce. To nie jest wcale okres przedwojenny, ani zbrojny pokój — to jest normalna wojna, która zmierza do moralnego wyniszczenia narodów, a w konsekwencji do narzucenia im woli napastnika".

ERRATA DO N-ru 13 — 14

(Art. p. Stanisławy Kuszelewskiej Rayskiej: Nareszcie — ale co dalej?)

Strona 9, szpalta 2, wiersz 12 od góry. Powinno być: ...tradycję jagiellońskiej Polski przodującej...

Strona 9, szpalta 2, wiersz 38 od góry. Powinno być: Wyznaczyć niełatwo, lecz wyraźne ścieżki najkonkretniejszych pod słońcem robót...

NUMER POPRZEDNI 13—14 ZAWIERA:

DZIAŁY:

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Żórawia 7 m. 30, tel. 809-20. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedynczy 30 groszy.

CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.

Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. — Redaktor odpowiedzialny: Janusz Koreywo

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15 — Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.